

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok. III

Łódź, 23 czerwca 1946 r.

Nr 24 (52)

50-ty numer „Wsi”

Tak więc doczekaliśmy się jubileuszowego numeru... „Wies” wychodził już dwadzieścia jeden miesięcy, a więc bez mała dwa lata. Dorobek jej wynosi 400 stron druku dużego formatu, co w przeliczeniu na rozmiary książkowe stanowi około 30 „normalnych” książek, (— a pamiętać trzeba, że pismo tego typu co „Wies”, ma w założeniu zamiar tworzenia „zapasu intelektualnego”, „rocznika”, który zawiera materiały obliczone i na to między innymi, by jak do podręcznika do nich wracać) następnie jedną broszurę „Chłopska Reforma Rolna”, wydaną staraniem Komitetu przez Spółdzielnię „Czytelnik”, wreszcie — tak się złożyło, że na sam jubileusz ukazały się dwie książki poetyckie, pierwsze wydawnictwa tak ściśle z nami związane Oddziału Wiejskiego: „Urodzony w żdźbale” Frasiaka i „Przednówek” Kubisza. Czy ma prawo „Wies” wliczać te dwa tomy do swego dorobku? Chyba nikt nie zechce zaprzeczać — tak przecież te dwie nowe książki spełniają postulat, o który „Wies” wojuje od dawna, postulat nowej chłopskiej twórczości literackiej. 400 stron druku i parę książek, nawet nie przez „Wies” wydanych, a wynikłych, jako rezultat, z jej ideologii i jej walki — czy to dużo? Zdajemy sobie dobrze sprawę, jakże miejsce zajmuje „Wies” we współczesnej produkcji literackiej i jaki jest jej wydawniczy ciężar gatunkowy na terenie ogólnopolskim. Ale potrafimy też ocenić, czym jest „Wies” w dziedzinie publicystyki chłopskiej, szczególnie w porównaniu z okresem przedwojennym. Ten wielki doprawdy KROK NAPRZÓD — oto cały nasz zysk — nie 50 numerów, nie parę tomów, nawet nie cyfra naszych czytelników — a zajęcie nowych pozycji intelektualnych, literackich, twórczych, o jakich nie śniło się prowincjonalnym, ubogim wydawcom pierwszych ludowych pism literackich...

DZIEJE TYGODNIKA „WIES”

Część historyczna jest nieodzownym składnikiem artykułu jubileuszowego. Tym bardziej, że dzieje „Wsi” są szczególnie interesujące, i jakby w przekroju ukazują KSZTAŁTOWANIE się chłopskiej szansy kulturalnej w nowej Polsce. „Wies” może się pochłubić, że jest jednym z najstarszych pism w oswobodzonym kraju. Pierwszy jej numer ukazał się 15 września 1944 r. w Lublinie. „Wies” była dziewiątym pismem spośród wszystkich wówczas wychodzących (z codziennymi włącznie — były to: „Rzeczpospolita”, „Głos Ludu”, „Zielony Sztandar”, „Wici”, „Robotnik”, „Krajowa Rada Narodowa” — zresztą druk oficjalny, „Odrodzenie”, „Stańczyk” (potem zmienił na „Szpilki”). „Wies” więc była poważną pozycją bibliograficzną „Polski lubelskiej”, tym bardziej, że wraz z „Zielonym Sztandarem” (Organ SL) i „Wiciami” tworzyła blok 3-ch zaledwie wówczas pism chłopskich. Zapewne dzisiejsi czytelnicy pisma, gdyby wzięli do ręki pierwsze jego numery, nie poznaliby swego organu, choć skład redakcji nie zmienił się przecie, a tylko rozszerzył potem. „Wies” jest pismem, które przeszło w ciągu swego krótkiego istnienia gorączkową ewolucję, i parokrotnie zmieniało charakter, przystosowując się do wymagań rosnącej kultury ludowej w jej aktualnym, politycznym i organizacyjnym wyrazie; to też „Wies” przeszła najbardziej zmienne koleje, nie dające się chyba równać z historią żadnego innego pisma literackiego. Ta zmienność, która w innym wypadku świad-

czyłaby o braku jednolitej orientacji, dla „Wsi” jest odwrotnie, gwarancją rzetelności jej wysiłku. Tam bowiem, gdzie pisma kulturalne „ogólnopolskie” miały dziesiątki schematów, już ustalonych w działalności wydawniczej poprzedników, tam „Wies” szukać musiała własnej drogi, nie mając żadnych przykładów.

Czy mogła bowiem nawiązywać do ubogiej tradycji prowincjonalnych pismek, których zasługi działacze, dziś przez nas ze czcią wspomniani, usiłowali w najtwardszych warunkach materialnych stworzyć namiastki literackich organów chłopskich? Czy mogła mieszać się w partyjną politykę, kontynuować przedwojenne pieniacstwo „Piasta”, konieczne zresztą w owym okresie walki politycznej chłopskiej? Wszelkie ograniczenia, pomniejszenia celu głównego — przez zacieśnienie chwilowego udziału w polemice partyjnej, czy oparcie się na ciasnej bazie przypadkowych korespondentów wiejskich, byłoby krokiem wstecz. Dziś przed pismem takim jak „Wies” stanęły nowe możliwości. Dziś organ chłopski nie musiał lękać się przesładowania, nie wisiała nad nim groźba zniszczenia materialnego, gdy duża spółdzielnia zdecydowała się podtrzymać istnienie tygodnika, który daje nowe wartości kulturowe. Tych szans nie można było marnować. To też „Wies” nie ukrywała nigdy swoich ambicji: by stać się pionierskim, na miarę ogólnopolską, pismem NOWEJ CYWILIZACJI CHŁOPSKIEJ.

Przy tym założeniu kręte pozornie i zmienne koleje „Wsi” staną się jasne. Unikając zarówno doraźnej polemiki politycznej, jak z drugiej strony strzegąc się przed popularyzatorskimi, naiwnymi tradycjami gazet w rodzaju „Przyjaciół Ludu”, starała się „Wies” z miejsca osiągnąć wysoki ton i poziom intelektualny, choćby kosztem pomniejszenia szans masowości pisma, zaś jako na bazie ideowej oparła się na CAŁEJ warstwie chłopskiej, uważając za swój obowiązek — znaleźć się tam, gdzie znajduje się chłop w obecnej chwili dziejowej. A była to chwila szturmowej REFORMA ROLNA!

Mówiono nieraz, że w owym okresie „Wies” była łatwiejsza, bardziej przystępna dla masowego czytelnika. Przy tym przez masowego czytelnika rozumie się naiwnego i z trudem czytającego chłopca, któremu trzeba w prosty i sugestywny sposób wmawiać hasła dnia i tygodnia. Oby taki minął czym prędzej — i cała nasza działalność opiera się na przekonaniu, że właśnie mija. Zaś „Wies” była pismem trudnym od początku. Różnica polegała tylko na tym, że weszła całym impetem w ówczesne problemy społeczne, zaniedbując na razie czynnik literacki. Pocić którzy dziś stanowią zespół tygodnika, byli wówczas za Wisłą, publicystyka nie osiągnęła jeszcze dzisiejszego zróżnicowania, ale prosić przerwali numery „Wsi” lubelskiej, czy choćby broszurę „Chłopska Reforma Rolna”! Zadanie było takie: stworzyć możliwie wielkie napięcie świadomości, emocji, ideologii wokół sprawy Reformy; i choć nie uchylała się „Wies” wtedy, w ogniu walki nawet od elementów propagandy, to jednak chęć budowania PROBLEMÓW przyswiecała jej od pierwszej chwili istnienia.

Minęły cztery miesiące, zakończono parcelację ziemi — i znowu nagła, zdawałoby się, odmiana; „Wies” staje się organem... Związku Samopomocy Chłopskiej! I znowu pozorna to tylko zmienność —

pismo bowiem pozostało czym było i właśnie dlatego „Wies” znalazła się w ZSCh, bo trwała ideologicznie. Można powiedzieć nawet, że był w tym pewien automatyzm; pismo znowu znalazło się tam, gdzie miało najszerzą ogólnochłopską, a przecież pozapolityczną bazę organizacyjną.

Pamiętać także trzeba, że pismo wtedy było obciążone dziesiątkami serwitutów. Pism chłopskich było trzy, z tych jedno polityczne („Zielony Sztandar”), jedno organizacyjne („Wici”). „Wies” miała podjąć wszystkie główne problemy kulturalne, społeczne i literackie, wyłaniające się przed chłopem; było ich dziesiątki i setki. „Wies” nie zdołała wszystkich poruszyć, ale też nie mogła się skupić nad jednym tylko odcinkiem, gdyż aktualne potrzeby publicystyczne, z coraz to innych dziedzin coraz to przesłaniały problem ściślej literacki, czy kulturalny.

Nowy okres w rozwoju tygodnika rozpoczyna się z chwilą, gdy po wywołaniu całej Polski redakcja przenosi się do Łodzi. Powstaje teraz szeroki wachlarz pism zajmujących się problemami chłopskimi, czy obsługujących wieś; teraz tygodnik ma możliwość wyznaczyć sobie krąg specjalny i starać się o możliwie najdoskonalsze wypełnienie ciśnień pojętego zadania. W tym celu koniecznością się staje zorganizowanie wszystkich pisarzy, którzy są w stanie przyczynić się do utrzymania LITERACKIEGO PISMA CHŁOPSKIEGO. Dochodzi do tego na Zjeździe Pisarzy Ludowych, zorganizowanym w Warszawie w lipcu 1945 roku, staraniem Związku Samopomocy Chłopskiej. Wkrótce po tym zostaje utworzony Oddział Wiejski przy ZZLP, komórka organizacyjna skupiająca większość literatów pochodzenia chłopskiego i dla kultury wsi pragnących pracować. „Wies” nie jest co prawda oficjalnym organem Związku, i nie zrywa węzła łączącego pismo ze ZSCh, jednakże w praktyce staje się rzeczniczką tej nowej organizacji.

A jest to istotnie organizacja nowa, i choć na tle kultury ogólnopolskiej miejsce jej wyraża się innym stosunkiem, jednakże w dziejach piśmiennictwa ludowego stanowi niezwykle postęp odpowiadający zmienionej sytuacji społecznej i politycznej. Grupy, które przed wojną próbowały skupić się w związki (Krakowski „Związek Pisarzy Ludowych”) były ośrodkami nieomal prywatnymi, ich działalność miała zasięg ledwie jednej prowincji. Teraz wszyscy ci pisarze, dawniej rozproszeni we „Wsi — jej pieśni”, „Ugorach”, „Okolicach poetów”, dzisiaj skupili się dokoła „Wsi” tworząc tym samym jedno pismo, i dokoła Oddziału Wiejskiego, organizując wreszcie ośrodek o ogólnopolskim znaczeniu.

Niewątpliwie więc sens tych przemian był postępowy — osądany z punktu widzenia literatury chłopskiej w jej dotychczasowym stanie. Wiązanie się organizacyjne, jakie przechodziło kolejno pismo „Wies”, i które poprzez różne fazy doprowadziło do utworzenia specjalnej komórki o ciśniejszym zakresie działania, było realizacją koniecznej i jednolitej linii. Inaczej wypadła osąd obserwatorów pobocznych, którzy od redakcji i od Oddziału Wiejskiego przedwzruszenie żądali albo osiągnąć do których pisarze chłopscy dopiero przygotowywać się muszą, albo domagali się rozszerzenia bazy i charakteru pisma, porzucenie owego „zwężenia”, specjalizacji która nastąpiła w rezultacie poszukiwania właściwej drogi. „Kuznica”, a następnie

„Odrodzenie”, piórami A. Ważyka i J. Przybosa, podjęły polemikę ze „Wsią”, skierowaną z jednej strony przeciwko elementom hamującym jakoby emancypację wsi (popieranie gwary w poezji), z drugiej przeciwko ciasnym ambicjom literackim, zagrażającym wytworzeniem się nastroju koterii, i nawołując do poszukiwania i popierania samorodnego elementu twórczego. Istotnie, nad pierwszymi po Zjeździe numerami pisma zaciążył obowiązek umocnienia dopiero co zbudowanego, a już gwałtownie atakowanego zjednoczenia chłopskich pisarzy. Był to program na razie minimalny i rzeczywiście nieraz ograniczający się do obrony ściśle określonej grupy. Jednak ten okres umocnienia pozycji minął szybko i pismo rozszerzyło swą tematykę z literackiej również na kulturalną i społeczną, zaś w zakresie czysto literackim wysunęło szereg postulatów obliczonych na przyszłość, występując nieraz w dyskusjach nawet przeciwko „swoim” tj. próbując ukazać nowe obowiązki twórcze grupie która się dokoła „Wsi” skupiła.

Podobnie obronną ręką wyszła „Wies” z polemiki politycznej, stale wierna swemu hasłu, by służyć przede wszystkim chłopom, nie partiom, i by budować raczej kulturę, niż doraźny plan przewag i równowag. Tutaj wypadło wytrzymać atak pism zgrupowanych koło PSL, usiłujących wyrzucić na „Wies” presję w kierunku jednoznacznego udziału politycznego. Pismo wszakże zdołało utrzymać swą pierwotną tezę, by być trybuną wszelkich poglądów od krańcowych lewicowo do nader nawet krytycznych, zamkniętych jedynie ramami interesów klasy chłopskiej.

ZAWARTOŚĆ TREŚCIOWA

„Wies”, porównana z innymi pismami ludowymi wydawanymi przed wojną i obecnie, ukazuje swoje specyficzne oblicze, nie dające się porównać z żadną dotychczasową próbą. Trzy niewątpliwie cechy, stanowiące o odrębności pisma, co do których zgadzają się zarówno publicyści, jak zwolennicy, to: charakter publicystyki, charakter poezji lirycznej, wreszcie zakres i temat wielkich dyskusji, przeprowadzonych przez pismo.

Jest więc niewątpliwym, że „Wies” jest pismem które dysponuje zupełnie specjalną poezją liryczną o tonie wyraźnie odrębnym. Ta „szkoła” poetów „Wsi” nie jest dziełem zamierzonej doktryny literackiej, a jedynie sprawą selekcji, częściowo naturalnej (tematyka chłopska musi wszak być elementem poezji chłopskiej), częściowo celowej, tj. będącej wynikiem doboru redakcyjnego. Nie kieruje się on żadną teorią literacką, ani nawet społeczną, a przecie sprawia, że wiersze „Wsi”, jakby się nie oceniało ich wartość i wkład (a można ocenić również negatywnie), stanowią masę o pewnej jednolitości i spójności, co je wyróżnia spośród utworów zamieszczanych w innych pismach literackich, przeważnie nie kierujących się dziś chęcią utworzenia szkoły.

Publicystyka „Wsi”, — trzeba to przyznać bez fałszywego wstydu, — podjęła zagadnienia tak szerokie i poświęciła im tyle miejsca (niemal 1/2 całego obszaru pisma), że można to uważać za fakt bez precedensu w prasie ludowej. Kosztem nawet zagadnień aktualnych, praktycznych, bieżących, przedyskutowano olbrzymi złom problemów wychowania, tradycji, kultury ludowej, w napięciu problemowym i bogactwie krytycznym dotychczas mało spo-

tykanym. Znowu nie idzie tu o wartość tej pracy, która może zawierać wiele błędów, a raczej o poziom jej ambicji. Odrzucając on obliczony na najwyższy, pionierski niemal diapazon, i nigdy nie wyprzedził się, że drukuje się w nas artykuły zdolne zainteresować drobną ledwie garstką kulturologów, działaczy, czy wykształconych nauczycieli ludowych. Nastawienie owej publicystyki jest dość charakterystyczne, — obraca się ona dokoła mitów kultury ludowej i próbuje otwierać nowe perspektywy postępowe. Stąd małe jest stosunkowo zainteresowanie sprawami etnograficznymi, czysto literackimi, czy problemami dawnego piarstwa ludowego.

Podobnie świeży jest zakres trzeciego rodzaju, trzeciej grupy prac: dyskusji. Gatunek znany w pismach ludowych, przecież tutaj występujący w nowej skali i nowej funkcji. Znowu jak najszerszy materiał i zakres i możliwie najwyższy poziom, w tematyce zaś główne sprawy postępu kulturalnego aktualnej wsi i aktualnej twórczości ludowej: dyskusja o gwarze, kto jest chłopem, sprawa Szeli, wieś — miasto — regionalizm, Uniwersytety Ludowe, jakiej powieści chce współczesna wieś. Jak zabrzmiały te tematy, wystarczy powiedzieć, że daleko do ostatecznego podsumowania jakiegokolwiek z nich, tak szeroki stał się zakres dyskusji i tak ruchliwe elementy wprowadzono przez uczestników do tych polemik, bodaj po raz pierwszy wysuniętych w tej tematyce do szerokiego omówienia publicznego.

NASZE NADZIEJE

I oto okazuje się, że właśnie w momencie, gdy pismo ograniczyło się do „specjalnego” zakresu, koniecznością było rozszerzyć ów zakres tak daleko, że krainca jego nie widać. Kłopoty ideologiczne nasze nie tylko się nie zmniejszyły, a wzrosły, spotęgowały i zróżnicowały się niemal w nieskończoność. I na odcinku przez nas obsługiwany w kulturze nowej Polski Ludowej znalazły się wszystkie najważniejsze sprawy, — te właśnie, które metodycznie eliminowaliśmy kiedyś. Dziś zarówno przed poetami jak przed publicystami „Wsi” stoi podjęcie tego nowego zadania, skoku naprzód po osiągnięciach tak przecie niewątpliwych i podnoszących na duchu. Bo 50 numerów to jest bardzo wiele, gdy się je mierzy dotychczasowymi rozmiarami prasy ludowej literackiej, — ale jest bardzo mało, w czym musimy się zgodzić z naszymi przeciwnikami, — wobec szansy nieporównanie większej niż kiedykolwiek, jaka dziś wylania się przed wreszcie wolnym chłopskim pisarzem społecznym.

Z. K.

WYDAWNICTWO ODDZIAŁU WIEJSKIEGO Związku Zawodowego Lit. Polskich.

Jak już wielokrotnie podawaliśmy, nakładem Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Lit. Polskich ukazały się dwie interesujące publikacje poetyckie — „Urodzony w źdźble” Józefa Andrzeja Frasiaka i „Przednówka” Pawła Kubisza.

Niestety, po skalkulowaniu zmuszeni byliśmy cenę książek podnieść oraz obniżyć rabat do 30 proc. Obecna cena „Urodzonego w źdźble” wynosi zł. 140,—, a „Przednówka” zł. 100,—.

Organizacje kulturalne, polityczne i inne mogą kupować nasze książki wpłacając na konto P.K.O. Łódź, Oddziału Wiejskiego Zw. Zaw. Lit. Polskich VII 4440 odpowiednie sumy, zaznaczając którą książkę i ile jej egzemplarzy zamawiają. Przysługiwać im będzie wtedy 30 proc. zniżki od ceny katalogowej.

Czytelnicy z Łodzi mogą kupować nasze książki bezpośrednio w lokalu Oddziału—Andrzeja 12, II p. codziennie z wyjątkiem niedziel godz. 11 — 12.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

W chłopskim gimnazjum

Po „Dniach Kościuszkowskich” w Szczekocinach

TROCHĘ HISTORII I SENTYMENTU

Ta sama historia byłaby kilkanaście lat temu nie do pomyślenia. Asfaltową szosą pędzi amerykańska maszyna, wioząc przed stawicielei Zarządu Głównego Z. S. Chł. i wojewódzkiego na uroczystości kościuszkowskie do Szczekocin, małego miasteczka nad Pilicą.

Mijamy właśnie Chęciny. Potężny zametek zostaje w tyle, jak i czasy, które reprezentuje. W dole na lewo ukryty w drzewach stoi inny, podobny do kieleckiego. To Podzamcze, gdzie mieści się wzorowa Szkoła Rolnicza — znak bieżących dni.

Opowiadam o pewnej kamienicy w Chęcinach, zabytku chłopsko-mieszczańskiej kultury budowlanej. Ale amerykańska maszyna minęła już dawno modrzewiowy kościółek w Mnichowie i pnie się na ostatnie wzniesienie przed Jędrzejowem...

Szydł jest zastanawiający. W tym niedawna ziemiancko-mieszczańskim miasteczku czytamy w rynku zielony napis: „Gospoda Samopomocy Chłopskiej”! Ożywiony ruch gości mówi, że to nowe zjawisko zupełnie się przyjęło.

Jedziemy teraz nieco gorszą, wapienną szosą. Już od Brynicy Mokrej widać wystrzelającą ponad lasy wieżyczkę nagłowickiego kościółka.

„Czy to Rejowe Nagłowice”? — pyta ktoś z Warszawy. Właśnie! Kiedyś Rejowe, później Radziwiłłowskie, obecnie samopomocowe! Zaliż owo nie rozkosz? Odpoczywa tam ponad setka dzieci partyzantów.

Wóz mija Moskorzew. Niedługo zobaczymy Zakłady Naukowe Związku Samopomocy Chłopskiej im. Tadeusza Kościuszki w Szczekocinach.

Istniały one już w 1940 roku, kiedy to uciekając przed terrorem gestapo, grupa nauczycieli gimnazjów kieleckich znalazła gościnę i schronienie po wsiach i w dworach powiatów włoszczońskiego i jędrzejowskiego. W roku 1943 pracowało ponad 30 placówek tajnego nauczania, skupiających ponad 1000 młodzieży, w olbrzymiej większości chłopskiej pochodzenia. Walka o duszę młodego pokolenia chłopów była twarda. Pamiętam. Padali nauczyciele i uczniowie — partyzanci.

Nowe czasy przyszły nagle. Żandarm, który jednego dnia pędził do pracy, błagał następnego o życie. Nawpół zrujnowany pałac magnacki w Szczekocinach, przed miesiącem pusty, zamienił się w ciągu 30 dni w chłopskie gimnazjum. Sprawa jego powstania nie ma sobie podobnej w historii powiatów włoszczońskiego i jędrzejowskiego. Pomyśleć tylko! *Chłopi chcieli i zmontowali gimnazjum*. Może dlatego, że szkolne ławki, cegłę i drzewo zwozili już inni chłopci, zdolni do podjęcia zorganizowanej inicjatywy społecznej, jak i inne środowiska.

Dosłownie przez miesiąc urządzone sale wykładowe, zdobyte pomoce naukowe, bibliotekę i uruchomiono dwa internaty.

Tam gdzie w kilkudziesięciu salach i pokojach nudził się jeden człowiek, tysiąc młodzieży chłopskiej rozpoczęło wczesną wiosną 1945 roku naukę.

W MAGNACKIM PAŁACU

Na olbrzymim trawniku przed pałacem gromadzi się młodzież i delegacje organizacji z szerokiej okolicy.

Szybko i sprawnie ustawione szeregi oczekują przybycia dalszych gości. Mają

to być przedstawiciele władz państwowych. Zajeżdżają samochody. Młodzież wita Prezesa Wojewódzkiej Rady Narodowej, delegatów Z. S. Ch., Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich, Kuratorium Okręgu Szkolnego i przedstawicielei prasy. Brak tylko Wojewody...

Od krakowskiego dziedzińca słychać tętent. Po chwili błysnęły w słońcu kosy konnego oddziału Krakusów. Zielony, partyzancki mundur wojewody kieleckiego harmonizuje z barwnymi strojami krakowiaków. Nic dziwnego, przecież to chłopski wojewoda.

Następuje prezentacja grona pedagogicznego. Opiekun drużyny harcerskiej i romanista jest chłopem. On to zorganizował największy w powiecie tajny ośrodek nauczania i przez całe lata chodził kilometry z dwoma towarzyszami, nie bacząc na niebezpieczeństwo ze strony żandarmów, tępiących tajną oświatę.

Obok stoi najmłodszy pedagog samopomocowych zakładów. Można go zawsze zastać z młodzieżą i widzieć jak ćwiczy jej ciała, lub majstruje nowe urządzenia sportowe.

Są to ludzie twardzi, chociaż nawiasem mówiąc popłakaliśmy sobie przy powitaniu, wspominając dawne lata wspólnej pracy.

W sali aktowej, pięknie udekorowanej wita Dyrektor Zakładów przybyłych gości. Społecznik to niestrudzony i konsekwentny, nie ustępujący ani trochę z drogi stworzenia wzorowego, chłopskiego gimnazjum. Jestem jednak pewien, że widziałem lży w jego oczach, kiedy witając przybyłą młodzież śląską, podkreślił sojusż chłopsko-robotniczy. Istotnie w nawale gadani na ten temat był to konkret.

Te dwie siły zmierzają się jutro w zawodach sportowych. Co do mnie, stawiam na chłopów...

... Pod pamiątkową tablicą płonie znicz. Czytamy ze wzruszeniem nazwiska profesorów i starszych uczniów, poległych w niustępliwiej walce z okupantem na odcinku kultury. Z rozkazu wojewody biegnie za chwilę, prosto w słońce sztafeta Krakusów, z płonącymi żagwiami w rękach, aby zapalić znicz na mogile partyzantów w Wywle, odległej o 8 km od Szczekocin. Wywła była spalona za śmiały atak na zmotoryzowany oddział żandarmerii, chcący wzmożnić załogę w Szczekocinach. Na zakręcie stał młody podporucznik z dywersji włoszczońskiej i strzelał z ręki z KMU, półki niemiecka kula nie strzaskała mu kości ramieniowej...

Tymczasem kosynerzy rozkładają się obozem na dziedzińcu szkolnym. Słychać wesołe rozmowy a później i kapelę. I oto jesteśmy świadkami niezwykle barwnego widowiska. Oberek! Sielankę przerywa konna straż przednia, która zapowiada przybycie Naczelnika Kościuszki do Szczekocin. Jakoż ukazuje się za chwilę. Konno i w białej sukmanie. Mówi wolno i dobitnie, ilustrując sytuację wojskową, jaka się wywiązała pod miasteczkiem. Następnie wśród szalonego entuzjazmu ruszają kosynerzy na plac przyszłej bitwy, a ściślej mówiąc do Wywli nad mogiłę kolegów-partyzantów. Dziewczęta płaczą tak żałośnie, że goście radziby cofnąć historię i nie puścić chłopskiego wojska do bitwy.

Widowisko było sielankowe. Nim jednak zdołałem się zastanowić, zaciągnięto mnie do mazura na murawie. A więc mazur w wykonaniu pedagogów! Młodzież odpowiada kujawiakiem. — Ślązacy tańczą wdzięcznie trojaka.

Wszystko się dzieje na zielonej murawie, między szpalerem drzew, obok kremowego pałacu.

Przy księżycowej pogodzie wracają goście i młodzież z bratniej mogiły powstańców w Wywle. Rozentuzjazmowani chłopcy opowiadają mi, że odbyła się tam podniosła uroczystość złożenia hołdu partyzantom z Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich łącznie, poległych za Polskę. Wojewoda mówił pięknie i po żołniersku... „Sam Kościuszko, który stał obok, też na koniu, bił mu brawo i krzyczał: niech żyje wojewoda!” — dodaje któryś z pierwszoklasistów.

W czasie kolacji dowiadujemy się z pięknego przemówienia delegata Zarządu Głównego, że Z. S. Ch. ma zamiar stworzyć cały szereg doświadczalnych zakładów naukowych typu Szczekocin.

Dopiero późną nocą jest trochę czasu na refleksje. Idę wolno wzdłuż rzeki w stronę zacichłego miasteczka.

Gimnazjum chłopskie jest miejscem nowego posłannictwa inteligencji polskiej. Musi ona odrobić przeszłość i pomóc podnieść wartości kulturowe chłopca do godności ogólnonarodowych. Widziałem piękną, księżycową sielankę. Czy właściwa chłopom skłonność do podniosłych stanów, ów wielki pęd do gromadzkości, cała ta niespożyta energia nie jest tylko niebezpiecznym teatralno-zabawowym estetyzmem? Jest to tylko lekkość i wdzięk krakowiaka i urok tradycyjnego popisu, czy też świadome dążenie przejścia ludu w naród?

ROZMOWY

Óltarz stoi na wzgórzu, wśród drzew, na zakończeniu wspaniałej alei. Strzegą go kosy złożone na krzyż. Po obu stronach widzimy radła, brony, chłopski wóz i pługi. Całość tworzy uroczą, naturalną scenę i kiedy zobaczyłem ministrantów w krakowskich strojach i słyszałem śpiewy, nie mogłem się oprzeć przekonaniu, że to tylko teatr...

... Uroczystość na rynku zniszczonego miasteczka stanowiły przemówienia i złożenie wieńca pod pomnikiem Kościuszki.

Mówił Burmistrz, Przedstawiciel miejscowego społeczeństwa, Delegat Wojska Polskiego, Prezes obchodów kościuszkowskich w Polsce, Prezes Wojewódzkiej Rady Narodowej, Przemówienie przedstawiciela Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Literatów Polskich, red. mjr. Jana Al. Króla przerywano co chwila oklaskami i okrzykami na cześć mówcy i pisarzy chłopskich — awangardy w wielkim procesie przechodzenia ludu w naród. Stałem wśród młodzieży i obserwowałem pełne zrozumienie słów mówcy, ilustrującego trudną drogę i długą od pisarzy samotników, Magrysia, Szarka i Bojki do zorganizowanej masy pisarzy chłopskich. Słowa nawołujące do włączenia się nie tylko do ogólnonarodowej kultury, ale i wezwanie do technizacji pracy chłopca, spotkały się ze szczególnym entuzjazmem.

... Na krótko przed obiadem zwiadam sale internatu dla chłopców i wdaję się w rozmowę ze swoimi byłymi uczniami. Pytam jednego z trzecioklasistów, co rozumie przez chłopskie gimnazjum. Odpowiada prosto, że nie po to tu przyszli, aby uczyć się chłopkości i konserwować się w niej. Znają to dobrze i boleśnie. Przez naukę dopędzą postęp i wrócą na wieś ciągnąc następnymi.

Jeden z licealistów powiada mi, że jego zdaniem nie powinno być ani stanu, ani klasy, czy warstwy chłopskiej, tylko — zawód rolnika, jak w Anglii, czy Danii.

„Gdzie to wyczytał”? — pytam.

„Po co czytać, kiedy to... widać” — odpowiada.

Obiad jedzą goście z pedagogami i przed stawicielami organizacji młodzieżowych. Dzieje się to w parku. Z boku przygrywa orkiestra. Słychać tu co chwila toasty i przemówienia, przerywane okrzykami wznoszonymi przez młodzież.

Niech żyje chłopski wojewoda!

Niech żyje mjr. Król, który wcale nie jest poetą! (poprzednio tak młodzież myślała).

Niech żyje podlisycki gawędziarz Ozga-Michalski!

Dyrektor pije zdrowie jednego z najbardziej zasłużonych gospodarzy przy montowaniu zakładów.

Rozmawiam z członkami samorządu szkolnego. Opowiadają mi, że życie organizacyjne gimnazjum idzie już sprawnie. Istnieją i działają koła: literackie, historyczne, przyrodnicze, matematyczne i sportowe.

Koleżanka — prezes koła literackiego informuje mnie, że omawia się teraz na zebraniach — skamandrytów. Dopomina się o pisarzy chłopskich. Pohrabiowska biblioteka, mieszcząca się obecnie w gimnazjum,

W KAŻDYM POLSKIM DOMU

powinna być ta książka!

„O gdybym kiedy dożył tej pocięty
Żeby te księgi zbladziły pod strzechy
(A. Młekiwek)

Już wyszła z druku książka:

„PAN TADEUSZ”

z efektowną kolorową okładką według projektu art. graf. St. Raczyńskiego, wewnątrz 12 ilustracji Andriollego. — str. 286. Cena 80 zł.

WYDAWNICTWO MICHAŁ KOWALSKI — KATOWICE

Niska cena pozwoli każdemu Polakowi zaopatrzyć swój dom w tę książkę — arcydzieło polskiej literatury.

jest uboga w polską literaturę, a już chłopscy pisarze zupełnie nie są reprezentowani. Młodzież chce ich mieć koniecznie. Pytam, kogo chcieli by omawiać. Wiktor, Burka, Pięta, Frasi, Kubisz... Zachęcam samorząd, aby zwrócił się do Dyrekcji z żądaniem aby zakupiła odpowiednie książki z literatury i historii chłopskiej. Chłopcy uśmiechają się niedowierzająco. Jest w tym uśmiechu coś ze starego kompleksu czekania na darowiznę. Ale zażądają, a Dyrekcja kupi napewno!

Z boku słyszymy brawa. Pojedynek sportowy między strzechą a fabryką rozpoczęty. Robotnicy skaczą dalej, chłopcy zato wyżej, co jest chyba ważniejsze!

Przyglądamy się grze w siatkówkę. Istotnie trzeba było postawić na wieś. Pobija ona bez kłopotu Ślązaków. Ci, którzy jeszcze przed dwoma laty słyszeli tylko o siatkówce, biją dziś Ślązaków, u których sport stał zazwyczaj wyżej o klasę niż w pozostałej Polsce. I nie znać na nich doniedawna przysłowiowej ociężałości chłopskiej. Jeszcze jedna niedobra tradycja poszła do archiwum...

... Przedstawiciele Oddziału Wiejskiego Z. Z. L. P. i redakcji „Wsi” — pracują! Widzę jak red. mjr. Król umawia się z młodzieżą co do ich prac we „Wsi”. Sam zamawiam pamiętniki u najlepszych polonistek...

... Uroczystą akademię w sali aktowej Zakładów otwiera chór wiązanką pieśni chłopskich. Dyryguje twórca tego 200-osobowego zespołu profesor... Aha! Prosił specjalnie, żeby nie podawać nazwiska. Jakże jednak zachować lojalność, kiedy się słyszy zgrany, czterogłosowy śpiew dwu setek młodzieży chłopskiej. To nie śpiewki pastusze, czy pokrzykiwania przy ognisku, ale zharmonizowany, wielki zespół! Zresztą kto śpiewa „jak górne orły rwą się do lotu”, ten i tak będzie wiedział nazwisko autora wielu innych melodii, śpiewanych przez młodzież.

Słyszeliśmy doskonały śpiew solowy i utwory fortepianowe, w wykonaniu zaproszonych artystów.

Prawdziwą rewelacją i niespodzianką był stylizowany krakowiak, wykonany przez dwie pary licealistów. To prawdziwi artyści, godni najlepszej sceny. Opowiadano mi, że jedna z dziewcząt spoglądała w tańcu przez dłuższą chwilę na dwu przyjaciół, siedzących w pierwszym rzędzie. Podobno wracając, klócili się przez kilkadziesiąt kilometrów drogi, któremu to spojrzenie zostało przeznaczone.

Niestety, od strony młodzieży chłopskiej nie usłyszeliśmy zbyt wiele. Wypowiedź jej przedstawiciela na temat Tadeusza Kościuszki, była banalna i nie wychodziła poza ramy utartych od lat frazesów. Nikt nie przedstawił Naczelnika jako społecznika, sprawcę konkretnych przemian w życiu chłopca...

... Goście próbują wyjechać. Daremnie! Młodzież z kapelą na czele otacza w tańczącym korowodzie przybyłych i ani myśli wypuścić.

Wojewoda bawi się jeszcze dłuższy czas z młodzieżą i śpiewa wszystkie chyba partyzanckie piosenki. Dopiero późną nocą udaje mu się wyruszyć.

Jest piękna, akustyczna noc. Jeszcze bardzo długo słyszeliśmy okrzyki.

Z LUDU W NARÓD

W czasie wspólnego obiadu padły z ust jednego z przedstawicieli prasy chłopskiej słowa, że to właśnie dobrze, iż młodzież nie wygląda już po chłopku.

Oparty o drzewo i pilnujący całosci Dyrektor Zakładów — uśmiechnął się. My się dobrze znamy, więc ja wiem, że serce mu zadrżało z radości. Wiadomo, że idzie tu o przełamanie tradycyjnej opłotkowej chłopkości i przystosowanie młodego pokolenia chłopów do zmiennego środowiska. Prawda, drogi Dyrektorze? A w tym systemie wychowawczym widać tyle samo życzeń wychowawców, co i młodzieży.

Gimnazjum kończy drugi rok szkolnej pracy. Pamiętam. Dwa lata temu, dobijająca się wiedzy młodzież chłopka, chodząca pod strzechy ukrytych w dolinach chałup, w pogodzie i deszczu, nie miała dzisiejszej swobody i poczucia równowagi.

Kontakty z miastem, owo zwycięstwo w zawodach nad robotnikami, mającym żywe przeciwieństwo tradycje postępu kultury duchowej i technicznej, łamią do reszty zanikający już kompleks chłopkości.

I oto idzie nowe pokolenie z ludu w naród!

Wiesław Jażdżyński

Spolszczył TADEUSZ ROKITNIAK-CHRÓSCIELEWSKI

Bylina o Wasylim - Pijanicy i o napadzie Tatarów

(fragmenty)

Jest to jedna z najciekawszych bylin. Niektóre jej partie są dość stare np. ten apokaliptyczny wstęp niezwiązany z całością tematyczną nie ani nastrojowo. Epos opiewał prawdopodobnie pierwotnie zagładę Kijowa i śmierć bohaterską któregoś z wodzów. Rosyjska szkoła historyczna (przezwyrodniona już przez nowsze prądy badawcze) twierdzi, że to była pieśń żałobna, upamiętniająca śmierć w walce z Tatarami księcia Wasyla Konstantynowicza (Stepańskiego). Według tej hipotezy z biegiem czasu, gdy wspomnienie o Tatarach stawało się coraz bardziej odległe i groteskowe, zaczęto popularną pieśń parodiować. Parodia ta wyszła

pewnie z grona wesołków-skomorochów (coś w rodzaju rybaltów z „Żywych kamieni” Berentaja).

Nie jest to zjawisko wyjątkowe. W Polsce na przykład, uroczystość „lajkonika” z początku rocznica ocalenia Krakowa od Tatarów — obchodzona zupełnie poważnie, z biegiem lat przetwarza się w groteskową zabawę ludową, to samo — strzelanie do t. zw. „turków” na jarmarkach.

Obie interpretacje krzyżowały się i ścierały ze sobą, lecz nie zdążyły wygaść jednolitej całości. Nastąpiło wyschnięcie oryginalnej epic-

kowej twórczości ludowej, skostnienie i potem już tylko dążność do jak najdosłowniejszego przekazywania z pokolenia na pokolenie („z pieśni słóweczka nie można wyrzucić”). Ta różnorodność nastrojów przy lekkości ich przebiegania stanowi właśnie o wdzięku naszej byliny.

Śmieszny wkład któregoś z młodszych pokoleń recytatorów - parodystów to te bajeczne kalosze „wielkiego kniazia”. Dużą siłą poetycką posiada oczywiście - pijackie zakończenie, dość częste w popularnych pijackich piosenkach, znajdujące swoje wysoce artystyczne odbicie w „Pieśniarzu” Goethego.

Ach, bo kędyś szły tam tury, kędy sine morze
I popłyną te tury poza sine morze
I popłyną te tury na Bujan-ostrow.
A tam ku nim szła turzyca złotoroga —
Złotoroga turzyca-jednoroga.

Powiedziała tak turzyca — ich matęka:

— Ach, witajcie wy mi tury złotorogie,
Złotorogie tury — wszystkie jednorogie,
Gdzieście były moje tury i coście widziały?

— Ach, bywaliśmy, matęko, aż w Szachowie
I w przesławnym onym grodzie w tym Lachowie
Sza też droga poprzez Kijów — gród czerwieniński,
Nieopodal Bożej Cerkwi Zmartwychwstańskiej.
I widzieliśmy precudne cudeńka:

Oto wyszła jakaś dziewa z Bożej cerkwi,
Na głowęńce bujnej niosła dużą księgę,
Po kolana się zanurza w Nieprę rzekę,
O próg wodny oprze dużą księgę,
Oprze, czyta, co wyczyta, to w głos szłocha...

Tak powiada im matęka ich rodzona:

— Ach wy głupie moje tury bezrozumne:
To nie dziewa wyszła z cerkwi bożej,
Wyszła sama z niej Bożurodzica,
Na głowęńce bujnej niosła Ewangelię,
Po kolana weszła w matkę Nieprę rzekę,
O próg wodny ci oparła Ewangelię,
Co wyczyta z Ewangeli, to w głos płacze,
Ona wie, że dzisiaj gorze Kijowowi.

Oto ciągnie na Kijów Kudrewanko car
Ze swym zięciem mileńkim Artakiem,
A ten z synkiem mileńkim Końszykiem.

(Dalej następuje wylczenie siły wojsk tatarskich i opis wysłania przez Kudrewankę listów („jarlyków”) do Włodzimierza. Listy te odwozi „Izdolisko laskonogie”).

Wtedy z tego to oddziałiska przekłętego,
Wtedy z tego to pułku ogromnego
Wyskakuje Izdolisko laskonogie,
W białe ręce jarlyki zagarnia,
Jak najrychlej Izdolisko konia siodła,
Jeszcze rychlej to Izdolisko na koń skacze
I pojedzie owo Izdolisko, lecz nie drogą
I do grodu rychło wjeżdża, lecz nie bramą,
A nad tyny skacze grodowe
A nad baszty narożne przelata.
Przed ganiec, przed czerwony zajedzie
Ku świetlicy malowanej książęcej...
Nie zapyta o furtę ni furtki,
Lecz do jasnej pobiegnie świetliczki,
Ni przed kniazem czołem nie bije,
Ni Apraksji księżnej zdrowia nie życzy,
Tylko rzuca jarlyki na dębowy stół...

(Włodzimierz nie posiada zbyt wojowniczego usposobienia, toteż sprasza na ucztę przedstawicieli wszystkich warstw ludu i prosi ich o pomoc).

Ach, wy moi panowie-ulanowie,
Ach, wy moje bohaterzy potężne,
Ach, wy nasi kupcy-bożacze,
Ach, wy wszystkie moje chłopki chude,
Chłopki chude ale ziemię orzące,
Ach, który z was poskoczy w pole gołe
By sileńkę tatarską pokonać.

A ten mocny chowa się za średniego,
A ten średni chowa się za ułomka,
Od ułomka zaś do mocnego nikt nie mówi.

(Trzy razy powtarza kniaz swoje wezwanie, wreszcie Dobrynia Mikiticz — najrozsądniejszy z bohaterów radzi mu zwrócić się do Wasyla-Pijanicy. Wasyla można zastać zawsze w carskiej karczmie).

Jeszcze kniaz wszystkiego nie dosłyszał,
A już kunie sobolową utapia
I w kalosze wciska gołe nogi
I do karczmy carskiej przybiega.
Tam na piecu polewanym Waśka śp
I rogożką ten Wasieńka okutał się
— A śpi Wasieńka jak wodospad grzmi —
Przebudził się Wasyl-Pijanica.
Kniaz Włodzimierz kijowski tak zaś rzecze:
— Wstańże już mój Wasyli — marny pijanico
I chodź no mój Wasyli na godny fet.

(Rozbudziwszy z trudem pijanego Wasyla, zabiera go Włodzimierz ze sobą na ucztę).

... Zawiedli Wasyla na ów godny fet.
Posadzili Wasyla za dębowy stół,
Nalewali Waśce czarę wina zieloną,
Znów nie mała, nie duża, wiadra półtora.
Tedy chadza Wasyli po świetlicy
I krzepkimi plecami zachwiewa
I białymi rękoma rozrzuca
I tak Wasyl rozprawia:

— Włodzimierzu — kniazu tronno-kijowski,
Toć koniczek mój zda się przepity,
Toć zbroiczka jakby w zastaw dana
I nic nie ma, w czym bym jechał w pole gołe
By powstrzymać sileńkę tatarską.
Wypowiada kniaz Włodzimierz te słowa:

— A u kogo ty zbroiczkę zastawiłeś.
— U szynkarza u czolobitniczka.
Rzecz kniaz do Dobryni Nikiticza:
Hej, Dobrynia, ty Mikity synu,
Skoczno skoro do carskiej karczmy...

(szynkarz na rozkaz kniazia)

Już odmyka śpichlerze okute
I wydaje wszystką zbroję rycerską
I wydaje trzy przeostre szabelki
I trzy długie kopijnice bułatne
— A nie małe, nie duże — siedem sążni —
I do tego tęgi łuk sprężysty
I do tego nalek strzał hartownych...
... I powraca Dobryniuszka na ów godny fet.
Rzecz Wasyl — marny pijanica:
— Włodzimierzu — kniazu tronno-kijowski
Dwóch mi godnych towarzyszy daj:
A pierwszego Dobrynię — Mikity syna,
A drugiego Aloszę — syna popiego
A wejdzemy-wciągniemy się na balkon wyniosły.

Wszedł Wasyli na balkon wyniosły,
Wziął ze sobą tęgi łuk sprężysty,
I spoziiera przez szkła powiększające
A nie może końca dostrzec tej sileńki.
Naraz spojrzy Wasieńka nieco bystrzej
I nareszcie zauważy szater czarny.
Tęgi łuk sprężysty naciąga
I cięciwę jedwabną napina,
Na niej kładzie hartowną strzałeczkę
I strzałeczkę hartownej przygwarza:

Ach ty moja strzałeczko hartowna,
Uleć ty mi strzałeczko pod niebo,
Nie upadaj mi na ziemię ni na wodę,
A upadnij Kudrewance na pierś białą
I rozerwij Kudrewanki krewkie serce.

Uleciała ci strzałeczka pod niebo,
Nie upadła ni na ziemię ni na wodę,
A upadła Kudrewance na pierś białą,
Rozerwała Kudrewanki krewkie serce.
Spadł ze stolca Kudrewanko z rzemiennej
I zmieszala się tatarska sileńka.

Ogarnęli się molojcy-udalcy:
Pierwszy Wasyl — tamten marny pijanica,
Drugi junak — Dobryniuszka — syn Mikity,
Trzeci junak — ten Alosza — syn popowy.
Naskoczyli na siłę pogańską,
A gdziekolwiek konia przeprą — tam ulica,
A gdziekolwiek konia zwrócą — tam zaulek.
Przelamali tatarską sileńkę...

*

A w Kijowie fet się wlecze niewesoło,
Wszyscy smutni, wszyscy głowy powieszali...

(z radosną wieścią wraca trójka naszych bohaterów, uczta ciągnie się dalej w nastroju już zupełnie innym).

Kniaz Włodzimierz po świetlicy spaceruje,
Wytrząskuje cholewami hołubce,
Sobolowo-kunią szubą na wiatr chmajta,
Kędzierzawą rudą brodę rozkędzierza
I z tym słowem się Włodzimierz kniaz odzywa:

— Ach Wasyli — mój ty marny pijanico,
Pójdźże zaraz, weźmij klucze pozłociste
I odemknij me kufrzyska okowane,
A zabieraj skarbów złota, ile pragniesz.

Odpowiada Wasyl — marny pijanica:
— Włodzimierzu — Słoneczko kijowskie,
A mnie naco twoje krocie skarbów złoty
Dajże wina pić mi kniazu za darmo, że,
Póki matka-śmierć nie weźmie Wasieńki.

Zjazd Oddziału Wiejskiego Z. Z. L. P.

W dniach 25 i 26 maja 1946 roku odbył się w Warszawie Zjazd członków i kandydatów Oddziału Wiejskiego ZZLP, trzeci skolei, a czwarty, jeśli wliczyć zorganizowany przez Związek Samopomocy Chł. w czerwcu ub. r. „Zjazd pisarzy chłopskich”. Zjazd miał na oku cele organizacyjne, przede wszystkim sprawozdanie ustępującego zarządu i wybór nowego, był jednak także sposobnością do wymiany poglądów na zadania tak specyficznej organizacji, jaką jest Oddział Wiejski. W tym zakresie dyskusja zjazdowa przyniosła kilka charakterystycznych wniosków.

Obecnych na zjeździe było przeszło czterdziestu pisarzy, literatów, pamiętnikarzy chłopskich ze wszystkich stron kraju (z wyjątkiem pomorskiego i białostockiego, gdzie dotychczas Związek nie ma swoich przedstawicieli). Zjazd odbył się przy ul. Bagatela, w lokalu udzielonym przez Stronnictwo Ludowe i trwał dwa dni. W ciągu obrad Zjazd odwiedził jako goście: A. Korzycki, sekretarz gen. Stronnictwa Ludowego, min. zdrowia S. Litwin, który w przemówieniu skierowanym do pisarzy wzywał ich do udziału w walce o zdrowotność wsi, Jarosław Iwaszkiewicz, Prezes Zarządu Głównego ZZLP i St. R. Dobrowski, którzy witali Zjazd w imieniu ogólnopolskiej organizacji literatów, oraz przedstawiciele pism warszawskich, m. in. organów partyjnych „Dziennika Ludowego” i „Gazety Ludowej”.

Po sprawozdaniu Zarządu, przyjętym z aplauzem przez zebranych (w miesiącu maju zrealizowano wreszcie zdawną przygotowywaną wydawnictwo Oddziału, które zaprezentowało Zjazdowi dwie pięknie wydane pozycje: Kubisza „Przednówek” i J. A. Frasika „Urodzony w żółble”), nastąpiły wybory do nowego Zarządu, który ukonstytuował się w następujący sposób: Prezes — Stanisław Pięta, pierwszy wiceprezes — A. Olcha, drugi wiceprezes — P. Kubisz, sekretarz: E. Marzec, skarbnik — Wł. Milczarek; członkowie Zarządu: J. A. Frasiak, J. A. Król, St. Nędza-Kubiniec.

Dyskusja skupiła się głównie wokół zagadnień popularyzacyjno-kulturalnych, w szczególności dokola kwestii klubów i wydawnictw. Drukowanie książek nakładem Oddziału Wiejskiego, czy utrzymanie pisma („Wiś”), które zajmowałoby się stale problemem współczesnej twórczości poetów chłopskich, nie wyczerpuje zadań organizacji. Przed Związkiem stoi konieczność przeniknięcia możliwie najpełniejszego do środowisk wiejskich odbiorców literackich; obowiązek ten jest istotniejszy na terenie działania Oddziału Wiejskiego, niż np. w programie ogólnopolskiego Związku Literatów, który nie musi wyznaczać sobie tak specyficznych, „światlicowych” sposobów penetracji, a może ograniczyć się do organizowania warunków wydawniczych. Doświadczenia Oddziału Wiejskiego w zakresie popularyzacji „klubowej” wykazały specjalnie dodatnie wyniki, właśnie pożądane na terenie wiejskim. Ostatnio zorganizował Oddział Wiejski wieczory z udziałem prawie wszystkich członków, w Zakopanem i w Warszawie dla słuchaczy z kół młodzieży organizacji ludowych. Po dyskusji Zjazd uznał ten sposób porozumiewania się z chłopskimi odbiorcami literatury za szczególnie właściwy; postanowił zorganizować objazdy po Polsce, w szczególności po Ziemiach Odzyskanych (objazd ma zorganizować ZSCH w porozumieniu z Oddziałem Wiejskim). Również zobowiązał Zjazd swoich uczestników do zorganizowania działalności klubowo-literackiej na terenie, na którym członkowie przebywają; kluby takie istnieją już zresztą w kilku miejscowościach, i staraniem członków Oddziału odbyły się poranki poezji chłopskiej (w Wałbrzychu, Krakowie, Kielcach i Lublinie).

Inne zagadnienie, które stało się przedmiotem gorącej dyskusji, to kwestia wydawnictw związkowych. Dwa pierwsze wydane dotąd zbiory poezji zaboczkowały akcję wydawniczą, która trwać będzie nadal; następne tomy są już w druku, również zaadał Oddział o umowę ze Spółdzielnią „Czytelnik” celem wydania dzieł J. Pogana i St. Nędzy-Kubinca. Kolejnym jednak się staje rozszerzenie akcji wydawniczej przez założenie specjalnego, obszernego organu, który zastąpiłby prace, niemierzące się ze względu na rozmiar czy na naukowe ambicje w innych czasopiśmie (np. we „Wiś”). Stąd zjazd uznał za wskazane założenie pisma dużej objętości, kwartalnika czy miesięcznika organu wieśniczego, który stałby na wysokim poziomie wspólczesnej wiedz i zdawałby sprawę ze stanu rozwojowego kultury i literatury ludowej, i jednocześnie zamieszczał utwory literatury, które z rozmaitych powodów nie mogą się znaleźć na łamach innych pism.

Szereg innych problemów, zacepionych ledwie, lub nawet szerzej omawianych w dyskusji znalazł wyraz w rezolucjach i wnioskach (patrz poprzedni nr. „Wiś”). Należy jeszcze zanotować przemówienie J. Iwaszkiewicza, prezesa Zarządu Głównego ZZLP, który zapowiedział zacieśnienie współpracy między Zarządem i Oddziałem, m. pisarzami chłopskimi i pisarzami „ogólnopolskimi” (termin niefortunny, bo wszak i chłopscy literaci są zarazem ogólnopolskimi, lecz trudno inny dobrać), i przemówienie inauguracyjne A. Olchy, który wskazał na chlubną społeczna tradycję piśmiennictwa chłopskiego przed wojną i żądał podniesienia świadomości tego faktu wśród współczesnych poetów i literatów wiejskich.

Charakterystyczne przemówienie wygłosił J. A. Król, otwierając przed pisarstwem chłopskim szerokie perspektywy ideologiczne i pedagogiczne, domagając się rozszerzenia zadań i ambicji; solidaryzował się mowa z poprzednim wystąpieniem L. Pokory, który skarżył się na brak zainteresowania i pomocy dla chłopskich pisarzy początkujących, młodych, oderwanych od środowisk kulturalnych, a przeciw stanowiących rezerwę nowej kultury ludowej, rezerwę łączącą pomocy i wska-

zówek o charakterze nawet pedagogicznym. Zjazd zakończył się obiadem, urządzonym przez Związek Samopomocy Chł. w Zalesiu, w miejscowej szkole ZSCH, gdzie pisarze chłopscy, gorąco i serdecznie przyjmowani, odczytali swoje utwory przed słuchaczami kursu. Z kolei uczniowie szkoły odwiedzili się gośćmi piosenkami; ten kontakt z młodymi działaczami był godnym akordem końcowym.

J. Sz.

Przeszło 700.000 Polaków pozostaje do repatriacji ze Wschodu do Polski

Dotychczas powróciło do kraju z Ukraińskiej SRR prawie 700 tysięcy Polaków, z Białoruskiej SRR 206,5 tysięcy Polaków i Litewskiej SRR — 96,5 tysięcy Polaków.

Pozostaje jeszcze do repatriacji ze Wschodu 721,5 tysięcy Polaków:

W tym z Litewskiej S. R. R. — 270,4 tysięcy, z Białoruskiej SRR — 315,5 tysięcy i z Ukraińskiej SRR — 135,5 tysięcy.

Zarazem ma być przywiezionych do Polski około 120 tysięcy koni, 203 tysiące rogacizny, 136,3 tysiące świń, 205 tysięcy owiec i kóz.

ADAM POLAŃCZYK

Z okazji kongresu Towarzystwa przyjaźni Polsko-Radzieckiej

W dyplomacji słowo „przyjaźń” wymieniać bywa nader często, ale na ogół ludzie posługujący się tym słowem nie traktują go bardzo serio. Jeżeli np. przybywa do Paragwaju przedstawiciel dyplomatyczny Islandii, to zostaje on powitany przemówieniem, w którym co trzecie zdanie powtarza się zwrot o „węzłach przyjaźni” łączących narody paragawajski i islandzki. Póweł Islandii odpowiada w tym samym stylu, po czym uczestnicy „podniosłej uroczystości” rozchodzą się do swoich zajęć ze świadomością, że o przyszłości stosunków islandzko-paragawajskich decydować będą względy handlowe, polityczne, militarne itp. „Przyjaźń” schodzi z afisza aż do następnej okazji, jaką stworzy np. obchód święta narodowego któregoś z tych dwu państw lub inna uroczystość tego rodzaju.

W normalnym języku dyplomacji słowo „przyjaźń” znaczy po prostu „brak otwartej wrogości”. Są jednak sytuacje, które wiążą ze sobą narody nie tylko ze względu na wspólność interesów czysto materialnych ani też ze względu na brak interesów sprzecznych. Taka przyjaźń nawiązuje się obecnie pomiędzy Polską a ZSRR. Przyjaźń ta utrwała się w wyniku drugiej wojny światowej i sytuacji międzynarodowej tą wojną wytworzonej, ale oznacza ona jeszcze coś więcej: koniec wiekowej nienawiści łączącej dwa narody słowiańskie.

Konflikt dwu tych narodów ciągnie się od stuleci. Wspomnienie wspólnej walki przeciw Tatarom nad Worskłą (1899 r.), kiedy to na pomoc księżtom ruskim przybyli w. ks. litewski Witold i jeden z najznakomitszych rycerzy polskich swego czasu Spytko z Melsztyna, oraz wspólnej walki przeciw Krzyżakom pod Grunwaldem (1410 r.), kiedy to nieśmiertelną sławą okryły się wspierające Polaków chorągwie smoleńskie, — zatarły się w pamięci od czasów wojen spowodowanych imperialistyczną polityką carów usiłujących zagarnąć ziemie, które weszły w skład państwa polskiego wskutek unii polsko-litewskiej.

Ile wzajemnej wrogości narosło w obu narodach w ciągu wieków świadczy o tym fakt, że podczas Sejmu Wielkiego stronnictwo patriotyczne szukało porozumienia z Prusami, uważając, że Rosja jest głównym wrogiem Polski. Czasy porozbiorowe zastrzyły jeszcze ten antagonizm. Wysiłki podejmowane przez tak niepospolitych mężów stanu jak ks. Czartoryski, ks. Drucki-Lubecki, margrabia Wielopolski, zmierzając do jakiegoś znośnego unormowania wzajemnych stosunków pomiędzy Królestwem Kongresowym a Rosją były stale torpedowane z jednej strony przez szowinizm wyższych urzędników rosyjskich, z drugiej przez nierozwagę polityczną i romantyczne porywy rewolucyjne niektórych grup społeczeństwa polskiego. Skoro zawiodły usiłowania utalentowanych polityków, tym bardziej zawodzić musiały próby apelowania do „przyjaciół Moskali” z naszej strony czy też rosyjskie próby propagandy panslawizmu, którego celem miało być zespolenie wszystkich narodów słowiańskich w jeden organizm państwowy (sentymentalne marzyciestwo polityczne stawało się tu

zasłoną dymną dla imperialistycznych dążeń caratu). Współżycia narodów nie zbuduje się o sentymentach, trzeba tu zrozumienia obustronnego interesu, trzeźwej myśli politycznej.

Dziś wyłaniała się już możliwość takiej właśnie współpracy, współpracy dyktowanej racją stanu obu państw a nie względami uczuciowymi. W którymś z ostatnich numerów „Reichu” z 1944 r. straszył Goebbels Europę „niebezpieczeństwem słowiańskim”. Okazało się, że nie mówił do niewdzięcznych słuchaczy. Słowa Goebbelsa trafiły do przekonania nie tylko zwolennikom faszyzmu ale nawet jego wrogom. Jeżeli dziś dyplomaci europejscy mówią o „żelaznej kurtynie” oddzielającej Europę wschodnią od zachodniej, jeżeli głoszą Niemców a mają wątpliwości co do praw polskich do ziem nad Odrą i Nysą i jugosłowiańskich do Triestu — to jest w tych postąpieniach praktykowanie polityki antysłowiańskiej. Sprawiedliwość wymaga, by wobec godziwych żądań jakiegokolwiek narodu nie wysuwano zastrzeżeń co do aktualnie panującego w tym kraju reżimu. Reżimy odchodzą, narody trwają. Niechęć do obecnych rządów Polski i Jugosławii nie powinna w żadnym wypadku skłaniać dyplomatów zachodnioeuropejskich do podejmowania decyzji sprzecznych z interesami tych dwu narodów. Nie powinna — ale dzieje się inaczej. I w tym właśnie wypadku znajdujemy oparcie w Rosji sowieckiej, której zależy na odepchnięciu możliwie najdalej od swoich granic państw północno-wschodnich, w których rezydowałby faszyzm jest bardzo prawdopodobna. Oto realna przesłanka współpracy polsko-sowieckiej.

Drugą jest możliwość współpracy gospodarczej na prawach równorzędności. Rosja nie dąży do ekonomicznego podboju państw mniejszych, gdyż stoi w tej chwili wobec konieczności odbudowy wewnętrznej, co w kluczową możliwość prowadzenia jednocześnie zaborczej polityki gospodarczej. Zdajemy zaś sobie chyba wszyscy sprawę z tego, że współpraca gospodarcza z innymi narodami jest koniecznością, że polityka pełnej samowystarczalności gospodarczej jest dla nas niemożliwa do zrealizowania. Równocześnie Polska i Rosja sowiecka są krajami „głodnymi”, co dyktuje im konieczność wspólnej polityki gospodarczej wobec państw „sytych”, państw — „kapitałistów”.

Oto są względy zasadnicze, które nakazują nam dbać o jak najlepsze stosunki z ZSRR i starać się o usuwanie przyczyn wzajemnego niezrozumienia się. Politykę określają twarde konieczności życiowe a nie sentymenty — oto fakt, o którym Polacy często zapominają. Kult militarnego bohaterstwa, zdawna w naszym społeczeństwie utrwalaony, kazał nam przeceniać powstania przeciwrosyjskie a lekceważyć pracę tych polityków, którzy starali się doprowadzić do porozumienia polsko-rosyjskiego. Dziś polityczny realizm nakazuje krytyczniej ustosunkować się do romantycznych porywów a wrócić do tradycji politycznej współpracy dwu narodów słowiańskich, przyjaźni między którymi oparta będzie nie o frazesy i sentymenty ale o dobre zrozumienie wspólnych interesów.

PAWEŁ KUBISZ

Przyśpiew popolity

I.

Mapę rozkładam w marszu
Pod gwiazd błękitne niebo,
Śpiewam wam pieśń najstarszą —
Swą własną krwią i chlebem!

Ciskam graniczne słupy,
Na przestrzeń polskiej ziemi...
— Brano Rugię Jupem —
Budziyszyn konał, dymii!

Wrocław i Szczecin gasną
Gramotem z polskiej pamięci!
Mówię wyraźnie, jasno —
Sabat pruski się święcił!

Głucholazy, Opole, Wałbrzych... Opawa —
I Nysa strzelista pod krzyżackim mieczem!
Tu zguba z niewola ręce se podawał
I tu krew słowiańska — w ziemię jak w grób ciecze!

W Olsztynie pan pruski kontusze popalił,
W Królewcu chłop polski zgiał plecy
Legenda została — kajdany ze stali...
Z szyszaków komturów gwiazdy w ziemię bity!

Litwinka Anita, ta w Tyłzy rodzona,
Ta z Prusów co wyszła — z litewskiej
Umarła dla świata w junkierskich ramionach —
Prusacy, krzyżacy — mord wzięli za sławę!

Po Mazurach, po jeziorach
Błaka się zwodniła chora...
Mewy białe na Pregole
Szarpia krzykiem polską boleść!

Nysa ciurkiem dzwoni, stęka —
Chce się burzyć, w biegu kłękać,
I lamenty wieść do morza!
Wszędzie wiś trąd w przestworzach...

Rzeczpospolita? — ...zabita!
Polska i prawo? — ...ich strawa!
A lud a chłoni? — ...wykropić!
Czyżby tak koniec? — ...snić płonie!

Nie ma śmierci narodu,
Który rosnął w płomieniach —
Śpiewał pieśń buntu, głodu,
Przez wieki, pokolenia!

II.

Pod gwiazd błękitne niebo,
Pod szarzę wielkiej ziemi —
Słowiańskim wzrośnij chlebem,
Dalna Rugii glebo!

W polskie sztandary stroje
Wrocław, Szczecin i Płe —
Te ziemie polskie, moje —
Spod przemocy i sily!

Berlin niech będzie Bralin,
Stare słowiańskie miano —
Tak hań drzewiej kasali,
Takie zwanie mu dano!

Zgorzały w Zgorzelcu swastki i krzyże,
Krzyżacki Raubritter już uciekł spłoszony —
W plechase swe wracam chorągiew dilerz
wytef,

Bo na niej jest wieniec cierniowej korony!

Bo w niej są wplecione drzazgi białych
kości,

Jęk wieków omszały kurhany, katusze —
Na zachód, na zachód... marsz mój
drogę prościł
Niewolę, niewolę do cna trna rozkruszyć!

Nad Odrę, nad Nysę — pod Olsztyn,
Kluczborek!

Tu państwo budować na starych krzemionkach,
Wyśpiewać wielkością dziejów dawnych
pokorę!
Usłyszeć pod niebem polskiego skowronka!

Trzasła z kurantów godzina
Chłopskimi cepami w pole,
Betczały rogów, wiklina —
Nad podeptanym kąkolem!

Szumiały zboża i ziemię —
Rzeki: Olsa, Odra, Nysa!
Z Wisłą swoje spręgam imię,
Statki w Bałtyku kołysać!

Grunwald na nowo? — ...twe słowo!
Więc tak: śląsk cały? — ...trwam, trwałem!
A w Budziyszynie? — ...już dniem!
Krok w takt, bo pakt — zaprzyśiężeniem!

Padły przysięgi szparko,
Heinał w ostrogach dzwoni —
Już w Trzyńcu i w Szumbarku,
Polski hymn noc chce gonić!

IGNACY ANTOSZ

Na folwarku

Nad kartofliskiem szumi las. Na polach jeszcze sterczą łęty późnych ziemniaków, a ludzie gromadnie salegają pola. Chwila nagli. Pierwsze dni listopada. Na górach leży śnieg. W dolinach — rankiem i wieczorem technicznie ostry ziąb. Na folwarku życie idzie utartym trybem. Robotników brak, bo „hrabia” jest niewypłacalny. Mieszkańcy siola mają tu trzyletnią saległość — idące celowo w niepamięć. Nieliczna służba stąpa leniwie po podwórzu. Dzisiaj jest tak; Stary Mikołaj wyjeżdża do lasu. Władysław parą koni zwozi z pola niedaną kapustę w celu szybkiego spasania bydłem. Dwie pary koni wyrzuje kartofle, a to młody student — formal Józek i karbowy Kotylik Mikołaj. W oborze zatrudniony jest pastuch o ogromnie przylepionym umyśle, pastuch z urodzenia. Mikołaj mu na imię, nazwisko nieznaną nikomu.

dobno. Pomaga Jadwidze w wykończeniu obrodu dla państwa. Na ogół nawet pańskie obiady są skromne.

Po południu nabrali znowu świeżych mocy ludziska. Wracają na pola. Jadą furmanki od dworu w tę stronę. Trzaska z bicia młody Józek student — formal, który już zapomniał a nauce a wszedł duszą i ciałem w dworackie stosunki.

I choć go państwo darzy sympatią za jego inteligencję, pracuje swycześnie jak każdy parobek, czyści konie, wyjeżdża w pole do roboty i chodzi w podartym ubraniu...

*

Znowu ci sami ludzie są na kartoflisku. Jedyne Różia przyszła na odwiedzin. Niewiadomo poco? Czy żądna zarobku, czy z gestu życzliwości dla hrabiostwa — Bo stary dziecko zdradza miłość dla jej siostry...

Wiatr od wschodu duży, oziębia się coraz

bardziej. Pod wieczór mróz ziemię ścisła, trudno ją rozorać. Konie wyczerpane nadmierną pracą co chwila przystają. — Wio - o - o! — krzyczy Józek. Śmiga batem po chudych podślach walałów. Pracę trza podwoić pod wieczór, wóz napelnić, wyrównać rzędy na jutrzejszy dzień. Zachodzi słońce na górach. Na szczytach błyska śnieg. W dolinach idzie mrok i ziąb. Ludzie schodzą do domów z pół dworskich, księżych i własnych.

Jest wieczór. Młe światło z obory przebija się przez okienne szyby. Przypomina się czas dawny, kiedy to majątek był wielki, a w obecnych budynkach gospodarskich był browar, skąd szły na eksport dobre piwa. Teraz pastuch sprawuje tu urząd. Karmi krowy przed udojem. Józek daje komiom. Kobieta ziemniaki do piwnicy wypycha. Władysław jeszcze od gumien przyjeżdża z paszą. W oknach błyska światła. W kuchni dogotowują się ziemniaki. Na polu gęsty mrok, trzeba po pamięci cho-

dzić. Jeszcze teraz nadjeżdża z lasu Mikołaj Rozelewicz. Zajeżdża tam, co wczoraj, kiedyś i zawsze... Przed kuchnią. Zrzuca drzewo, wypręga konie i prowadzi do żłobu. Lentwie, jak najpowolniej, takte jest jego „credo”.

W kuchni wykańczają kolację. Wchodzi Rozelewicz, bierze kartofle z garnkiem, maślaną, ogromną łyżką drewnianą. Jest to ten Mikołaj, o którym krąży legenda w okolicznych dworach, że je chochlą zamiast łyżką.

Na jutro jest program taki: z całej wsi przyjdą ludzie do kopania ziemniaków. Dwie pary koni ze wsi będą najęte do wyorywania rzędów, zjedzie policja napędzić ludzi do roboty.

Jest noc. Życie gaśnie w ciemnościach. W stajni stęka krowy ciemne. Tuż obok nich na barłogu drzemie Mikołaj — pastuch. Przy koniach kaszle na słomie Mikołaj Rozelewicz. Mróz ścisła ziemię. Niebo roziskrzyło się gwiazdami.



rys. Tadeusz Zarzycki

Przy zbieraniu ziemniaków pracuje sześćośmiu ludzi ze wsi. Więcej nie przyszło, choć to ostatnie dni przed zimą. Nikt nie przykłada dużej wagi do folwarcznych ziemniaków, ni do rychłej zimy. Dlaczego? — Alboż to chłopaka sprawa!... W podwórzu gospodyni rąbie drzewo, co dopiero z lasu przywiezione. Tu nie ma zapasów, dziś na jutro. W kuchni stado ozarnych kotów ugania wokół sprzętów. Pod stołem wylegują się psy rasowe, wtelce szanowne. Z pokoju rozlega się dzwonek elektryczny. To znak dla pokojówki Jadwigi. Jadwiga śpięszczy do pańskich pokoi.

Władysław zwozi kapustę dla bydła. To znowu jedzie do gumien po słomę i siano dla krów. Stary „hrabia”, (tak go tytułują) wsiada na cugowego rumaka krwi angielskiej i wyjeżdża w pole. Wtedy słonka wytoczyło się już na połowę nieba. Młody dziedzic także konno na pole przybył.

— Po południu — mówi dziedzic, — niech przyjdzie Różia, Antosia, Marysia... A jutro ma tu być całe siolo, dzwonię na „Gestapo”, policja wypędzi siłą ludzi do roboty, bo inaczej ziemniaki zamarnują.

*

Schodzą robotnicy z pola na obiad. Ciężkie buty przesuwiają się z jednego błota w drugie. Od gumien jeżdża Władysław z Mikołajem. Mikołaj rozkrzyżowany trzyma oburącz spadającą słomę. W podwórzu służba wypręga konie. Młody dziedzic wybiera owies ze śpięchleza dla koni. Każdy koń dostaje po jednym garncu. Cugowe dostają więcej. Stary „hrabia” dopiero nadjechał z pola, gdyż mimo późniejszego wieku zaleca się do wiejskiej dziewczki. Ludzie dzienni (niestali) jedzą u siebie w domu. Z kuchni dworskiej dostaje jadło tylko służba: Józek, Mikołaj — pastuch, Mikołaj — formal... Władysław i karbowy — Mikołaj są na chrzymarciu i żywią się u siebie w domu. Obiad dla służby jest taki: zupa ziemniaczana na pierwsze, pecak na drugie danie.

Z pokoju wychodzi pani Zofia, żona młodszego dziedzica. Kobieta ogromnie kulturalna po-

W OSTATNIM 22 — 23 (50 — 51) NUMERZE „WSI” Z DN. 9 — 16 CZERWCA 1946.

Piotr Chmura — Święto Ludowe dawniej a dzisiaj; — Stanisław Skoneczny — Na postój, Kostka Napierski; Jan Bolesław Ozóg — Zakaz, Przed Mszą; Mieczysław Kafel i Antoni Olcha — Zjazd w Krakowie; Adam Polańczyk — Święto chłopskiej twórczości; Stefan Lichański — Piotr Stopczyk — chłopski „wierszokleta”; Piotr Stopczyk — Marzenie, Beleş, ironia, humor i satyra, Kolęda dla księdza Tomasika, Piosenka dawnych opryszków, Pieśń na cześć pieśni; Jan Aleksander Król — Dwie koncepcje Uniwersytetów Ludowych; Stanisław Pięta — W północy, Drugi wiersz do matki, Wieczór; Stanisław Witowski — Bronkowe dzieciństwo; Józef Pogan — Czy zabawa w ciuciubabkę?; Włodzimierz Wnuk — W sprawie piosenki gwarowej; Piotr Wyrobek — Ze wspomnień o dawnym Podhalu; Witold Kraszewski — O sierocińcu wiejskim; Z. K. — Droga do kultury wsi przez zapatrzenie materialne; Antoni Piper — Z ostatnich dni okupacji; oraz noty i ogłoszenia. 8 ilustracji, 12 stron.

IZYDOR PŁASZCZEK

Wschodzące słońce radośnie wita szumące polacie żyrnich pól. We włosce zaklekotało różnymi godkami. Francik wszedł w pole. Przystanął przed kłosami, machał, wyluskał ziarno, wziął do ust i — gryzł.

— Dobre jest, można siec — mruknął do siebie.

W całej wsi rozległo się monotonne klepanie kos. Włośniacy przygotowują się do żniw. Uroczyste, jak do wielkich świąt.

Wokół szeleszczącego zboża zakręciły się już baby. I dzieci przybiegły. Zapatrzyły się w żyto, jak w płonący ołtarz.

— Hej, Józef jużżeś to naklepoł? — woła z pola wyszczerbionego płotu stary sąsiad Karel.

— A jużci. Bydźcie teroski ciąg jak nigdy.

Francik miał do żniw jedynie starą Paluzinę i niezbyt zgrabną Trudę. Poszedł więc do sąsiadów. Po starego Buchcika i mocną Mariannę. Przyszli Buchcik oparł się o płot, a Marianna ze sierpem w ręku usiadła na trawnik i rozglądała się po zagrodzie.

— Bydzie mi sie troszka ciężko schylać, boch już nie tako młodo — gadała do nachodzącej gospodyni Marianna.

— A dyć pomału to nom to jakoś pojedzie — pocieszała gospodyni.

Ruszyli w pole. Wyruszyła cała wieś. Był przepiękny dzień. Słońce grzało, głaśkało po twarzy. Kroczą żniwiarze z kosami, grabiami, z sierpami.

W opustoszałych chałupach pozostali je-

dyntle chorzy, lub zgerbiona babunia, mająca uważać na dzieci i — jakby ktoś przyszedł.

Słońce wspięło się już wysoko. Żytem szemrzące łany pokłoniły się żniwiarzom i zapraszały do pracy. Francik przeżegnał się, objął chłopkiem wzrokiem dojrzałe zboże i — ciąg. Brzękło kosami, zarechotało sierpami, grabiami. Ubieraczkli zataplają swe nagie ręce w ścietych kłosach.

Żniwiarze pościepowali kaboty, zakasali rękawy.

Brzemienne zboże wali się na ziemię, ścięli się ziarno dojrzałe słońcem, głaśkane wiatrem.

Na polach śląskich szumia żniwa chleba powszedniego.

I brzęczą kosy, brzęczą... Brzęk... brzęk...

Z czoł żniwiarzy ścieka pot. Wsiąka go w siebie ziemia przemilla. W oczach żniwiarzy błyszczy radość. Przed nimi migoczą wąsate kłosa, drząc przed ścięciem, jak przed śmiercią. Pod ich nogami skrzypią ciernie. Nad ich głowy wleciał skowronek. Rozpiewał się pieśnią o pracy chłopca.

— Hejże Buchciku, nie rozganęcie się tak — woła Marianna. Buchcik ściecze. I patrzy się w połysk ostrej kosy. I ściecze, ściecze. Bába prędko odclepuje smukłe spony żyta, bo tuż za jej pięta drugi żniwiarz ściecze, ściecze, ściecze.

— Już ni mooga — westchnęła i, zaszmatliwszy się między powrośkami, prasa na ziemię. Buchcik przystanął, otarł pot, zaczął fajkę i pociągnął. Mocno. Raz i dru-

gi. Poprawił galot, pobrusił kosę i dalej ściecze, ściecze, ściecze.

I brzęczą kosy, brzęczą... Brzęk, brzęk... Brzęk, brzęk... I młło jest słuchać ten czy sty śpiew stalowych kos.

Nastękl dużo. Bardzo dużo. Zatkneli kosy, zaczęli stawiać. I stawiali, stawiali. Spasne spony. Stawiali w „kozły”, stawiali w „lalki”. Prosto, dumnie, pięknie jak pułki ułanów. Ciernie drapało, kłuło do krwi bosc nogi żeńców.

— A podawać tu, podawać! — woła rozpalony Buchcik. Stawia sноп za sнопem, znowu sноп przy sнопie. Obejmuje do wwiązania, jak pannę do tańca.

Słońce, strudzone żmudną drogą lipcową, utknęło w pośrodku nieblos. Rozpaliło się mocno, praży do omdlenia. Zagrało południem. Polna cisza, niby plegrym, pokornie ukłękła na ostrym ściernisku i pobłogosławiła ściętemu kłosowi żyta.

Żniwiarze siedli na kudłatej miedzy polnej i westchnęli głęboko, westchnęli ciężarem żniw.

Mamulka przynieśli obiad. Przynieśli zuru. Kwaśnego, z pieprzem. Francik wstał garniec między kolana i jadł. Jadł i spoglądał na odpoczywającą pracę żniw. Jedli wszyscy, zmęczeniem przykułi do ziemi.

Powiał lekki wiatr i przytulił się do po ustawianych sponów. Ochłodził spoczone czoła żeńców.

I brzęczą kosy brzęczą. Brzęk... brzęk... Brzęk... brzęk...

Rozgadana praca żniwiarzy śląskich urasta po same niebo. Ubieraczkli wesolo ubierają, dzieci zbierają pogubione żdźbła.

— Boże wom pomoje! — zawołał chłop z sąsiedniego pola.

— Dej Panie Boże! — odpowiedział Francik.

Na sąsiednich polach zwożą zboże już do stodół. Naładowane drabinioki wyglądają jak najeżone szczyty Klimczoka. Pełno wrzasku, pełno gwaru, pełno pracy. Żniwiarze się śpieszą, spłoszeni ukazaniem się na zachodzie wielkich gór czarnych chmur.

— Burza, burza nadchodzi — powtarzają wystraszone baby.

Stodół coraz ciastniej zapychane są chlebem powszednim. Jedni awozą, drudzy klepią kosy, jeszcze lnni koszą, koszą, koszą.

I brzęczą kosy, brzęczą. Brzęk... brzęk...

Pole Francika gołociej. Padają ostatnie kłosa. Z nimi kończą się żniwa. Polskie żniwa. Mrok wieczorny oblał spony, przytulił się do żniwiarzy. W powietrzu zabłąkał się bąk. Nad głowami żniwiarzy zatańczyły komary. Tu i ówdzie słychać glosy, tu i ówdzie ostatni klekot drabinioków. Żniwiarze ciągną do chałpy. Niosą stepione koszeniem kosy, suche osłki, próżne dzbanki. Jeszcze palą bosc nogi, jeszcze szczypią spoczone oczy.

Serce żniwiarzy napelniło się radością, że żniwa wypadły bosko, że będzie co jeść!

W. B.

Wystawa Sztuki Ludowej w Łowiczu

Na długie lata przed wojną uroczystości Bożego Ciała ścigały do Łowicza bardzo wielu przyjezdnych, między innymi również cudzoziemskich turystów, którzy okazali duże zainteresowanie polskim przemysłem artystycznym. Wyroby beżmiennych artystów — chałupników (przede wszystkim łowickie) rozchodziły się po całym kraju, a dzięki entuzjastom cudzoziemskim docierały również zagranicę.

Z wielką szkodą dla naszej sztuki wojna zniszczyła tę gałęź wytwórczości rodzimej, bądź też uniemożliwiła jej rozwój.

Spółdzielnia Sztuki i Przemysłu Ludowego Rzecz. Polskiej w Łodzi jest dziś jedyną placówką spółdzielczą, której zadaniem jest podtrzymanie wytwórczości artystycznej przemysłu ludowego zarówno przez ożywienie ośrodków, które przed wojną osiągnęły piękny rozwój, jak przez zakładanie całkowicie nowych placówek.

Jakkolwiek okres działalności Spółdzielni nie przekracza roku, rezultaty są bardzo poważne: Spółdzielnia posiada trzy ośrodki wytwórcze, a mianowicie: wyrób tkanin artystycznych w Łowiczu, pod kierownictwem doświadczonego i zasłużonego ob. Kolaszyńskiego, wyrób ceramiki w Bolimowie oraz produkcję materiałów bawełnianych i półweł-

nianych o artystycznym rysunku, opartym na motywach ludowych. Piękne te i trwałe samodzielną produkują się na własnych domowych warsztatach w ilości oczywiście nie wystarczającej dla zapalenia nim rynku oraz rozprowadzenia handlowego.

Z chwila, gdy Spółdzielnia otrzymała obiekt fabryczny, o który czyni usilne starania, jak również własny odpowiedni lokal sklepowy — produkcja wyrobów włókienniczych, zarówno estetycznych jak tanich, niewątpliwie wzrośnie.

Wystawa Sztuki Ludowej w Łowiczu, poparta życzliwie przez ob. Starostę i Burmistrza oraz przez Zarząd Towarzystwa Krajowego zapozna szerokie sfery społeczeństwa polskiego z tym wszystkim, co ocalało z zawieruchy wojennej, jak również z najnowszym dorobkiem powojennym w tej dziedzinie.

Będziemy zatem mieli możliwość podziwiać na Wystawie zarówno eksponaty archiwalne, wypożyczone przez prywatnych posiadaczy spośród miłośników łowickiej sztuki ludowej, jak bogate działy współczesnych wyrobów artystycznych (pasiaki, makaty, kłimny), cera miki artystycznej, zdobnictwo (wycinanki, ozdobne hafty, lalki dekoracyjne i in.).

W. B.

JAN STANISŁAW ADRZEJEWSKI

POWRÓT

Mijały Potędze długie lata na borykaniu się z biedą. Nie były one dla niego tak pomyslnie, jak się tego spodziewał. Nie pomogło nawet i to, że ciągnął się jak struna, a przy tym oszczędzał, ile tylko mógł. Opieka nad liczną rodziną pochłaniała z małymi względami omal bez reszty wszystkie jego dochody. Nic nie pomogło, że pracował od świtu do nocy i chwycił się czego mógł. Niedostatek był prawie zawsze u niego gościem, więc stale miał z nim do czynienia.

I byłby niewątpliwie tak długo jeszcze tyrał cierpliwie, gdyby nie to, że mieszkający w Polsce Niemcy po przegranej wojnie zostali usunięci z posiadanych gospodarstw i te przeszły w ręce Polaków. Z kandydujących na gospodarstwa poniemieckie w Palaczewie Potęga był pierwszym. Jedno z tych gospodarstw upatrzył sobie już podczas wojny, gdy doszedł do przeświadczenia, że Niemcy za swoją podłość będą mieli oddawane pożyczaną miarką. Już wówczas gdy czuli się jeszcze panami siebie i dalecy byli od obaw — powiedział sobie: „Poczeka, Nimioszku, przydzie czas, że i ty bydziesz jedyn z drugim u nos parobkiem! Na zawsze panami nie bydziet! Przydzie czas, to i my wam odplacimy z nawiązką za to wasze dobre!” I jak się wziął, tak postanowił swego dokonać. Wprawdzie długo musiał na to czekać i nie mało przeżył, zanim do tego doszło, ale przeżycia te bynajmniej nie zmieniły jego zdania. Uływ czasu tym więcej utrwalał w nim wysunięte postanowienie i tym więcej zastrzął je w twardą zacietność. Zresztą Potęga należał do typu tych ludzi, którzy z raz podjętego zamiaru nie mogą się cofnąć, choćby nawet miał być w tym błąd z wynikiem przykrych następstw.

Gdy wreszcie do tego doszło, że Niemcy zostali zobozowani, Potęga samorzutnie objął upatrzone gospodarstwo. Ale nie długo na nim gospodarował. Na posiadłość tę znalazło się więcej chętnych i ci jeden przez drugiego starali się usunąć go z obranej zagrody. Powód ku temu dał stan gospodarstwa, jego wielkość, a szczególnie wspaniałe, jak na wieś, zabudowania, bowiem podobnych w całym Palaczewie nie było. Ponieważ jednak Potęga nie pozwolił się łatwo usunąć, spór o prawo pierwszeństwa do danego gospodarstwa trwał dość długo i nie obyło się przy tym bez awantur, kłótni i najrozmaitszych złożeń. Koniec końcem skończyło się na tym, że Potęga zdecydował się ustąpić, otrzymując w zamian za to inne gospodarstwo nieco gorsze, a w dodatku więcej zniszczone przez maszerujące tamtędy wojska frontowe, jak i niepowołane ręce osób z pobliskiego sąsiedztwa, którzy tą drogą starali się w owym bezładzie wykorzystać sytuację przez przywłaszczenie sobie pozabawionego często bliższej opieki inwentarza i wiele, wiele innych rzeczy, do których dostęp stał otworem.

Potęga po zgodzeniu się na ustąpienie chodził zły i małowówny. Bywało nawet, że odtąd często denerwował się sam na siebie nie wiedząc zgoła nieraz o co i dlaczego. Wyjątkowo zaś wyglądał przygnębiony, gdy nadszedł dzień w którym miał przeprowadzić się na nowoprzydzielone gospodarstwo, a to, po uprzednim zbadaniu przez powołaną tymczasowo komisję. W dniu tym od wczesnego rana wysłał na nową placówkę żonę z dziećmi do oprzętu, za nimi około południa posłał wóz z posiadanyim sprzętem domowym, który składał się z pozbijanego deszczułkami stołu, pary łóżek, tyłu krzeseł, szafy, spróchniałej, komody i paru stołków z białej deski. Sam pozostał dłużej i czekał na przybycie owej komisji, w skład której wchodził wójt, sołtys oraz dwóch członków gromady wiejskiej. Przyjazd komisji tej zapowiedziany był na godziny popołudniowe. Potęga oczekiwał z niecierpliwością i zaczął na dobre przeklinać, gdyż panowie ci pozwolili sobie na niemałe opóźnienie.

— Na pewno pociągają bimberek — mruknął złośliwie sam do siebie, stojąc przy płocie obok domu — i przyjadą urzędnicy jak beły. Inaczej być ni może i na pewno inaczej nie bydziet! — powtórzył dość głośno.

Miało się już ku wieczorowi, gdy na drodze pokazała się duża bryka w pełnym biegu.

— Nareszcie — zrobiło się źlej Potędze. — Ale pijani, jakbym przy tym był. Widać przecie to z daleka. Oho! we wójtowe kunie jadą. Gdzie go ta za to napisać.

Powózka z całym pędem wpadła otwartą bramą na podwórze, zatoczyła koło i w niezmińszonym biegu stanęła naprzeciw wspartego na końcach szlachet Potęgi.

— No już jesteście — odezwał się pierwszy wójt.

Potęga stał dalej oparty jak dotąd. Na słowa wójta nie odpowiedział zupełnie. Zniechęcił go do tego stopnia, że nie mógł na niego patrzeć.

— I czemu to nie gadacie? — rozgniewał się wójt na milczącego Potęgę. — Co? nie podoba się wam zapewne, że musicie stąd wyjść?



rys. Tadeusz Zarzycki.

— A dzień dobry! — podniósł Potęga głowę na ten przytyk. — Panowie pewno zapomnieli, co należy mówić, kiedy się do kogo przychodzi czy, jak wy tero, przyjeżdżo?

Wójt zakłopotał się tym powitaniem. Nie spodziewał się zupełnie, by Potęga odważył się na podobny przycinek. Zuchwałstwo to nie przypadło mu do smaku. Rozgniewał się więc na Potęgę tym więcej, że był w stanie nietrzeźwym i spojrzął na niego z nieprzejechaną złością.

— Więc nie podoba się wam!

— A pewnie, że nie!

— Potęga nie taki zły chłop — wnteszał się sołtys schodząc z powózki.

Za sołtysem zeszli wszyscy. Najdłuższemu siedział mniej znany Potędze jegomość, który miał objąć po nim gospodarstwo. Ale w końcu i ten zeskoczył. Potęga wiedział o nim tyle, że nazywał się Tułas i był dobrym znajomym wójta. Krzążyły pogłoski, że żona jego miała być kochanką wójta, a że miał do niej daleko jeździć, ściągnął ją sobie bliżej. Mówiono nawet, że Tułas o wszystkim doskonale wie i niczemu się nie sprzeciwił. Za zgodę wójta miał przyrzec Tułasowi najlepsze w gminie gospodarstwo poniemieckie, byleby się tylko nie sprzeciwił. Ile kryło się w tym prawdy, nikt dotąd w Palaczewie nie wiedział i nie mógł pewnie potwierdzić, gdyż Tułas mieszkał zupełnie w innej gminie, a donosy, jakie przychodziły, po większej części nie zakrawały na wiarygodność. Ale jakkolwiek sprawa ta się przedstawiała, wierzone na ogół, że jest w niej sporo wiarygodnego sensu, bowiem wójt w Palaczewie z początku tych był poniekąd znany. I dlatego to prawdopodobnie z niemłym wkładem staran protegował urobionego przyjaciela. Bo jakkolwiek znajomości miał dużo i wszędzie umiał wejść i wyjść, kosztowało go to nie mało starań ze względu na to, że zabiegających o to gospodarstwo znalazło się więcej i w nich miał niełatwych do pokonania przeciwników. Ponieważ jednak był urodzonym krętacem i w dodatku na tyle przebiegłym szachrajem, że trudno było się czegoś niesłusznego w tym co poczynał domyśleć, zdołał innych wypchnąć w szary kąt, a sam dopiął tego, do czego się zabrał, aczkolwiek słuszność bywała po przeciwnej stronie. Taką więc kombinacją przyczynił się w znacznej mierze do osiedlenia tego, kogo sam chciał.

— Niech Potęga nie czuje się tak bardzo pewien siebie — zwrócił wójt Potędze uwagę — bo czasem można źle na tym wyjść!

— A co nie mom być pewny siebie?

— Nie zapomajcie, Potęgo, że pokorne ciele dwie matki ssie, a pyszałkowane nieraz ani jednej nie dostanie. To samo może i was jeszcze spotkać. Nie wystarczy to, że nazywacie się Potęga. Nazwisko

w tym nie ma nic do rzeczy. Radzę być wam cicho.

— Rodzicie ta swoi babie, którym poniewierocie, a nie mnie — odciął się z oburzeniem Potęga. — Drugi raz nie poradzita mnie wywalić, nie, nie!

— Jak będziemy chcieli — zatoczył się po pijanemu wójt.

— Jak jo byde chciał!

— Ej Potęga, Potęga! Radzę wam zaprzestać tego, co poczynacie i siedzieć cicho, bo wpadniecie. Ostrzegam was i że byście czasem tego nie pożałowali.

— Jo wam już powiedziolym kogo możecie se ostrzyc: babe swojom, a jak mało mocie ty, to i kochanice, do który ciekocie i którym se ponoć bliży sprowadzicie.

Wójt na powiedzenie to skoczył jak oparzony. Zapienił się złością sapiąc silnie. Gdyby nie to, że zaledwie trzymał się na nogach, byłby niewątpliwie użył jakiegoś wykretna na własną obronę, ale ponieważ na to zdobyć się nie mógł, gdyż nie dowierzał sam sobie, do czego się mógłby przy tym posunąć, zamierzał Potęgę ustraszyć własną postawą, w jaką starał się uzbroić. Powaga ta miała przybrać charakter urzędowego stylu i jako taka zwrócić na siebie uwagę poszanowania. Ale przy zdobywaniu się na to wójt tym więcej się ośmieszył. Bardzo dziwnie wyglądał przymrując jedno oko, podczas gdy powieka na drugim drgała jak w febrze. Zauważyli to również przybyli razem z nim, więc ażeby nie dopuścić do większego ośmieszenia i zapoczątkowaną sprzeczkę jakoś zatrzeć, wtrącił się do tego więcej trzeźwy sołtys. Miał najwidoczniej lepszą głowę do kieliszka, gdyż trzymał się prawie najsztynniej z nich wszystkich.

— Dejma spokój, panie wójcie — klepnął wójta po ramieniu. — Nie warto przecie o lada głupstwo wszczynać kłótni. Chodźmy lepiej załatwić, co mamy do załatwienia i bydzie w porządku. Potęga, o ile wiem, nie jest wcale zły chłop. Skórę to ma trochę takom, co się jeży, jak kij zobaczy, ale to nic. Myślę, że i każdy z nas w podobnym wypadku nie byłby lepszy, bo to przecie gospodarza aż się serce do niej śmieje. Chodźmy do mieszkania, bo po co tu mamy na dworze stoić. Sprawdźmy, czy wszystko jest tak jak było i pójdziemy se nazat.

Sołtys równocześnie zawołał na Potęgę:

— No chodźcie i wy, Potęgo, z nami!

— Idźta se ta sami, idźta. Niczego ta nie ukrodam. Jak wszystko zastolym, tak

zostolom nie tkninte. Nic wam do minie.

— Właśnie, że my mamy do was dużo — przekreślił głowę wójt. — Zadarliście sami nie wiecie co, jak i z kim. I na pewno nie spodziewacie się, co wam to nasze zlekceważenie przyniesie.

Potęga nasrożył się i przyciął wójtowi jeszcze więcej:

— Mówicie, że zadarem? ale to tylko z wami, z takim se oł wójtym w Palaczewie, co to miast wójtostwa pilnować za kochanicami loto!

— Bodaj was sto... — zirytował się wójt.

— Bodaj was...

— Sierdźcie się, sierdźcie, ale som na siebie, bo mnie ta nie nadmuchocie ani nie nadmuchocie... Co mi taki wójt. Jak sie troche dorobie i kobjyta moja bydzie miała sporo gęsi, to was ta kłedy po późni najmie do nawrocanto od szkody, gdy z wójtostwa was wysadzom. Bydziecie u mnie jeszcze pasturkiem. Zoboczycie czy tak nie bydzie!

Wójt za to sponiewieranie skoczył do tyłu, by dopaść Potęgę. Gotów był wszcząć z nim awanturę, a w niej pokazać się wójtowskiej władzy... I gdyby nie powstrzymano go przy tym, nie wiadomo do czego by doszło, gdyż i Potęga na wójta przygotowany był nieźle. Nie ulegało wątpliwości, że porywczosć ta skończyłaby się dla wójta bezwzględna porażką, wynikiem czego wywiązałyby się przykre następstwa dla obu stron. Potęga nie gwarantował tym razem za siebie samego, gdyby przyszło stanąć oko w oko z takim przeciwnikiem, aczkolwiek z usposobienia był spokojnym i nigdy nikomu w drodze nie wchodził. Złość wzięła w nim przewagę do tego stopnia, że nie zważając na nic byłby chętnie za swoje choć w części odplacił.

— Ja tego nie daruję! — unosił się wójt. — Ja tego szubrawcowi nie zapomnę nigdy!

— Dejcie spokój, panie wójcie — uspokajał sołtys zdenerwowanego wójta, wpychając go do sieni. — To do niczego nie prowadzi. Ośmieszacie się sami i nas przy tym tak samo.

Potęga odwrócił się za wchodzącymi do sieni, aby dorzucić wójtowi jakieś powiedzonko cięższe, ale że ci zamkli za sobą drzwi, więc nie miał do kogo. Postął jeszcze tak chwilę, a gdy wreszcie zajął się z wójttem ostatecznie go zniecierpliwio, nie oglądając się dłużej za niczym, kopnięciem nogi otworzył sobie przymkniętą furtkę i, ominąwszy podwórze, udał się prosto przez pola na nową placówkę.

A. F. KIRLO - NOWACZYK

Poeta

fragment poematu

Pamiętasz? — świtanie, gdy konie do upoju szły
pędziła stado gęsi podobne białym obłokom
na ugor, nad którym w zorzach stały mgły
a ode wsi koguty pianiem nocnym opędzały się urokom...
Nad drogą wrony drżały w żalobnych kręgach,
ich krzykiem spłoszony zając przywarł do miedzy —
szło stado krów siwych rycząc na potęgę,
z nimi chromy pastuch kosztorem tropy ich śledził...
Siwiała dal i leszczyny nad strugą stały wyraziste,
brzozom, białym pannom wiatr splatał warkocze,
kos lasem gwizdał, wiewiórki płomienie ogniste
miotwały w skokach. Gajowy nocny niedosen miał w oczach

Mój skarogniady i lysa chrapami zgarniały wodę,
ogony — pióropusze sterczały z końskich zadów —
spojrzałaś ku mnie, rumieńcem splonął ci jagody,
a petem oczami szukałaś zagubionych wczora śladów.

JULIA HARTWIG

Przesiedleńcy

Na postoju kozy podchodzą
do lokomotywy ciepłej, parującej jak matka.
W biegu jesień się sypie między szyny prędką.
Odrzuca widok
zamach kity rudej jak brzoza,
to wiewiórka zgryza już w pyszczku
listek lodu z mroźnej hałdy zimy.

Tych obrazów przez szybę wagonu
nie widzą przesiedleńcy którzy we śnie stygną
i śni im się ojczyzna — dorodny krzew leszczyny
rodzącej prawdziwe orzechy
z jądrem pokarmu, z jądrem krzepkiej radości.

STEFAN BAŚCIB

Chłopska młodzież akademicka

w przedwojennym życiu organizacyjnym i społecznym *)

Na pewną niezgodność wskazywałby licznější udział akademików ze wsi we władzach „Odrodzenia” i „Akademickiego Zw. Promienistego”, zaliczony do grupy prawicowej. Ale posłuchajmy jak jeden z czynniejszych członków „Odrodzenia” — akademik ze wsi — określa atmosferę „Odrodzenia”: „Odrodzenie nie jest znów tak bardzo klerykalne. Ja np. jestem wrogiem kleru i w niejednym pod tym względem zgadzam się z lewicą... I ja jestem demokratą” (S.O. — 2.6. 1938).

Następną grupę, w których udział młodzieży chłopskiej był wybitny, stanowią organizacje samopomocowe, a więc „Bratnia Pomoc Studentów U.J.,” „Bratnia Pomoc Medyków,” „Bratnia Pomoc Teologów” oraz koła prowincjonalne.

Istotą tych organizacji jest niesienie pomocy materialnej w formie pożyczek pieniężnych, mieszkań, obiadów itp. niezamożnej młodzieży akademickiej, a taką jest przede wszystkim młodzież chłopska. Licznie też gromadzi się ona w ich szeregach.

Na 30 studentów (bez teologii) odpowiadających na ankietę 25 należało do organizacji samopomocowych — 2 nie odpowiedziało.

W r. 1936/37 w Bratniej Pomocy St. U. J. na 1950 członków ze wsi było 213 t. zn. 16 proc. W Bratniej Pomocy Teologów w tym samym roku na 235 członków wieś reprezentowało 104 członków t. zn. 42 proc.

Do Kół Prowincjonalnych zapisuje się przeważnie wszystka młodzież chłopska z danego powiatu czy regionu.

W organizacjach samopomocowych bierze też młodzież wiejska bardzo żywy udział, obejmując też tu bardzo często naczelną stanowiska.

Przeszło pięćmilionowym majątkiem „Bratniaka” zarządzali przez szereg lat ludzie ze wsi, że wymienimy nazwiska prezesów Bratniej Pomocy jak: Smolec Stefan — bene meritus Bratniej Pomocy za ofiarnej i wydatnej pracę (budowa II domu Akadem.), Wawrzon Edward, Sobon Edmund, Zych Jan.

W Bratniej Pomocy Teologów, gdzie w r. 1936/37 w Zarządzie reprezentuje wieś tylko 2 członków, właśnie najważniejsze stanowiska prezesa i sekretarza spoczywają w ich rękach. Podobnie w Komisji Rewizyjnej ważne i odpowiedzialne stanowisko przewodniczącego Komisji spoczywa w rękach chłopskich.

Koła Prowincjonalne całkowicie oprowadane są przez młodzież chłopską, chociaż nie zawsze stanowią oni tam większość. I tak np. w „Zw. Białsko — Bielskiej Młodzieży Akademickiej” na 82 członków w r. 1936/37 ze wsi pochodziło 24 członków. Natomiast we władzach na 7 członków Zarządu 4-ch było ze wsi i piastowali stanowiska prezesa, sekretarza, skarbnika i bibliotekarza. Na 5-ciu członków Komisji Rewizyjnej wieś reprezentowało 3-ch, w tym przewodniczący Komisji. Podobny układ można spotkać i w innych kołach. I tak np. w „Kole Ziemi Miechowskiej” na 8 członków Zarządu 5-ciu członków ze wsi: prezes, skarbnik, 3 członków Zarządu; na 4 członków Komisji Rewizyjnej wszyscy pochodzą ze wsi. W „Kole Myśliczan” na 6-ciu członków Zarządu 3-ch ze wsi: prezes, skarbnik, członek zarządu; na 3-ch członków Komisji Rewizyjnej — 2 członków ze wsi: przewodniczący i członek Komisji.

Przykłady powyższe podane są bez specjalnego wyboru. Nawet tam gdzie w zarządach organizacji samopomocowych młodzież chłopska reprezentowana jest tylko przez jednostki zajmuje ona poczesne stanowiska. Wdzieliśmy to w „Bratniej Pomocy Teologów”. Możemy to zauważyć np. w „Zw. Białsko-Bielskiej Młodzieży Akademickiej” na przestrzeni 10-ciu lat:

Rok	Ilość czl. ze wsi we władzach	Funkcje
1927/8	2	prezes, czł. Kom. R.
1928/9	3	prezes, przew. K. R., czł. K. R.
1929/30	2	czł. zarz. przew. K. R.
1930/1	2	czł. zarz. przew. K. R.
1931/2	2	2 czł. zarz.
1933/4	2	prezes, członek zarz.
1934/5	3	prezes 2 czł. zarządu
1935/6	6	v. prezes, sekretarz, bibliotekarz, przew. K. R., 2 czł. K. R.
1936/7	7	prezes, sekretarz, skarbnik, bibliotekarz, przew. K. R., 2 czł. K. R.
1937/8	6	prezes, skarbnik, czł. zarz., przew. K. R., 2 czł. K. R.

Do ostatniej wreszcie większej grupy organizacji akademickich należą koła naukowe, skupiające przeważnie studentów danego wydziału lub przedmiotu studiów. Należą tu więc także np. organizacje jak Biblioteka Słucha-

czów Prawa, Koło Filozoficzne, Koło Matematyczno - Fizyczne, Koło Pedagogiczne St. U.J. itp. Organizacje te mają na celu niesienie studentom pomocy naukowej a więc organizowanie specjalnych bibliotek, wydawanie skryptów, tekstów itp. pomocy naukowych, oraz pielęgnowanie danej gałęzi wiedzy przez organizowanie czytelni, wieczorów dyskusyjnych, odczytów dla studentów, względnie dla szerszej publiczności. W zależności więc od wielkości księgozbioru biblioteki danego koła, względnie możliwości korzystania z nich w innej formie grupuje się w nich większy lub mniejszy odsetek młodzieży. Wartość młodzieży wiejskiej zaczyna zdobywać sobie również w tych organizacjach odpowiednie miejsce, chociaż wywyższając się najczęściej na terenie ideowym i samopomocowym, zmuszona jest najczęściej ograniczyć w nich swój udział do minimum. Niemniej jednak udział tej młodzieży w życiu naukowym daje się łatwo zauważyć. I tak np. w ostatnim dziesięcioleciu życia Koła Pedagogicznego St. U.J., jednego z żywszych kół naukowych na U.J., spotykamy na stanowiskach prezesów sześć nazwisk chłopskich. Założycielami Koła Sociologicznego St. U.J. byli również ludzie ze wsi. Oni też piastowali tam ważniejsze funkcje. Choć nie we wszystkich kołach naukowych tak jest, niemniej jednak powyższe wypadki nie są odosobnione.

Z tego krótkiego przeglądu widać, że udział młodzieży chłopskiej w życiu organizacyjnym uniwersyteckim jest bardzo wydatny, a byłby z pewnością wydatniejszy, gdyby wiele czynników nie stało na przeszkodzie w wyżywaniu się tej młodzieży w tym kierunku.

Największą przeszkodą w pracy organizacyjnej są warunki materialne synów chłopskich, będących na studiach. Mówiliśmy o nich na innym miejscu. Korepetycje i różnego rodzaju zajęcia zarobkowe zajmują bardzo dużo czasu, tak że nie wiele pozostaje czasu na naukę nawet. Po drugie — takie położenie materialne zmusza studenta do najszybszego końca studiów, aby jak najprędzej otrzymać jakieś zajęcie i raz zerwać z nędzą. Trzeba dodać, że jeszcze druga nędza dołączała się do tej akademickiej. Było nią położenie nieraz tragiczne rodziny. Studia wyższe dla syna chłopskiego były w tych stunkach jednak dużym luksusem. Na ten „luksus” rujnowała się często rodzina, sprzedawała nieraz nie tylko „dwa woly”, ale niedojadała, odkładała sobie od ust i ograniczała nieraz swoje potrzeby do granic zwykłej węgietacji, byle tylko syn skończył studia, bo wtedy jej dopomocze... Rodzina czekała na pomoc syna — inteligenta. To niesienie pomocy, które czasem odbywało się nawet już podczas studiów; ten obowiązek jak najszybszego spłacenia długu pieniężnego, który zaciągnęli rodzice na studia swego syna; ten obowiązek spłacenia długu wdzięczności dla rodziców za to, że zrobili go wybrańcem losu, zmusza akademika — chłopca do jak najszybszego końca studiów.

Z tych też powodów młodzież ta świadomie unikała wszelkiej pracy organizacyjnej, jako czynnika bardzo absorbującego drogi czas i rozpraszającego energię, chociaż zdawała sobie częstokroć dokładnie sprawę z tego, że jest to dla niej niepowetowana strata w jej rozwoju umysłowym i społecznym.

Prezes P.A.M.L-u w sprawozdaniu za rok 1936/7 stwierdza niewykonanie w zupełności programu jaki sobie nakreślił. Jako usprawiedliwienie podaje: „niesprzyjające warunki, jak mała liczba członków, brak czasu. Członkowie P.A.M.L-u, pochodzący ze wsi, a więc niezamożni, skazani na samodzielną walkę o byt, na ubieganie się za kawałkiem chleba, co pochłania dużo czasu, nie pozwalając na oddanie się pracy w organizacji”. (Protokół z Walnego Zebrania z dnia 19.2. 1937).

„W życiu akademickim — pisze w pamiętniku W. W. — nie udzielał się zbyt. Jak wspominałem czas mój jest ograniczony”.

Jeden z odpowiadających na ankietę robi uwagę:

„Większość akademików ze wsi pochodzących bierze minimalny udział w życiu społecznym — politycznym i towarzyskim, pochłonięci pracą związaną ze studiami, a przede wszystkim troską o utrzymanie i opłaty” (ank. 30).

Na pytanie: „Z jakich powodów nie bierzecie czynnego udziału w akademickich organizacjach ideowych?” mamy odpowiedzi:

1. Brak czasu — 6 osób.
2. Względy materialne — 1 osoba.
3. Względy zdrowotne — 1 osoba.
4. Względy polityczne — 1 osoba.
5. Organizacje nie odpowiadają — 1 osoba.

Na 6-ciu nie biorących udziału wszyscy podają jako przyczynę brak czasu.

I trzeba właściwie zbyt silnych zainteresowań społecznych, trzeba być naprawdę takim Sprangerowskim „typem społecznym”, aby w takich warunkach poświęcić choćby trochę

czasu życiu organizacyjnemu. Na ogół ludzie ci, którzy udziału w tym życiu nie biorą są wy tłumaczeni. Właściwie dziwić by się trzeba, że jednak mimo takich warunków, młodzież chłopska bierze żywy udział, często jakże ofiarny i bezinteresowny w życiu organizacyjnym. Poza warunkami materialnymi, które bezsprzecznie stanowią największą przeszkodę w pracy organizacyjnej młodzieży wiejskiej, pewną rolę hamującą odgrywać powinny również momenty natury psychologicznej.

Synowie chłopscy wychowani w domu w skrajnej nieraz nędzy wysyłani są na studia przede wszystkim dla polepszenia swego bytu, czy zdobycia dobrobytu a nawet bogactwa. Ten cel stawia się też im ciągle przed oczyma, jako pobudkę do pracy. Młodzież ta też przyzwyczaja się do tego, wyrasta w nastawieniu zdobycia tego dobrobytu i do jego osiągnięcia mobilizuje wszystkie swoje siły. W połączeniu z poprzednimi może to dać właśnie typ ciasnego utylitarysty. Takich mamy dużo nie tylko wśród młodzieży chłopskiej. Motywy bowiem natury ekonomicznej przyswiecają rodzicom wszystkich warstw dzisiejszego społeczeństwa.

Że nie wszystka młodzież chłopska idzie w kierunku tego ideału Sprangerowskiego utylitarysty, należy w głównej mierze zawdzięczać ogólnym prawom wieku młodzieńczego. Wiek ten, to okres najwyższego idealizmu i poświęcenia dla dobra drugich. Ten idealizm, ta chęć niesienia pomocy drugim, to dążenie do sprawiedliwości społecznej (typowy zwrot w programach organizacji młodzieżowych, natrafiając na krzywdzące położenie warstw chłopskich czy robotniczych — ten idealizm zmusza studenta do pozostawienia swego interesu na boku i z całym zaparciem i zapałem poświęca student i tak już uszczuplony czas pracy społecznej w organizacjach akademickich czy zewnętrznych. Tych jednostek jest jeszcze mało, niemniej procentowo coraz więcej.

Na żywy udział młodzieży chłopskiej w życiu organizacyjnym ma też wpływ sama struktura życia społecznego na wsi. Życie to oparte jest na głęboko zakorzenionym instynkcie życia gromadnego, życia malującego znamiona żywej wspólnoty. Życie gromadne, współzycie towarzysko-sąsiedzkie jest na wsi daleko żywsze niż w mieście — szczególnie w mieście dużym. Wynika to już z charakteru życia wiejskiego, które wymaga ciągłej wzajemnej pomocy. Wychowany w takim środowisku syn chłopca zwyczajnym prawem nawyków czuje się dobrze w życiu gromadnym, organizacyjnym i bez niego czuje się źle.

Garnie się też młodzież wiejska do organizacji i bierze w nich żywy udział o ile tylko czas i zdrowie jej na to pozwalają, bo często nawet ze szkodą swego zdrowia i studiów.

Na pytanie w ankiecie: „Czy bierze udział w organizacjach ideowych akademickich?” mamy odpowiedzi:

- „tak” 18 os. — „nie” 4 os.
„trochę” 2 os. — nie odpow. 6 osób.

Dzięki swym walorom wybija się też ona wnet na pierwsze miejsca. Widzimy też na naczelnych stanowiskach w organizacjach akademickich ludzi ze wsi. Wyplwa to również w pewnym stopniu ze struktury psychicznej samej młodzieży chłopskiej na studiach wyższych. Na studia idzie przede wszystkim element bardziej ekspansywny w rodzinie bardziej ekspansywnych, więcej ambientnych, przedsiębiorczych, rodzin dążących do awansu społecznego. Młodzież chłopska przynosi ze sobą na wyższe uczelnie te właśnie cechy psychiczne i postawy społeczne.

W dodatku wychowanie w środowisku pracy, zaprawianie już od najmłodszych lat do poważnej pracy (pomoc przy gospodarstwie), daje tej młodzieży walory do wybitcia się przez rzetelną i mówczą pracę i poważne traktowanie każdej zleconej funkcji.

Poważne traktowanie zagadnień ideowych każe akademickiej młodzieży chłopskiej ść na wieś, by tam pod strzechy nieść światło, które zdobyła w szkołach, by tam swoich braci i siostry podnieść od godności świątliwych obywateli państwa, obywateli świadomych swych praw i obowiązków, by przez młode pokolenie chłopskie wyprowadzić wieś na nowe tory, by wreszcie przez pracę dla wsi spłacić długłożenia przez wieś na długoletnie studia swych synów.

Taka jest młodzież chłopska przejęta służbą dla dobra idei lepszego jutra wsi. Ofiarność, rzetelna i konkretna praca, sumienność, poczucie odpowiedzialności, wytrzymalność w pracy, ten chłopski wópr — oto walory nowego chłopca — inteligenta, oto wartości, które wnosi on do tworzenia kultury narodowej.

Akademicka młodzież chłopska, a nie kto inny walczyła o odrodzenie ruchu chłopskie-

go na terenie województwa krakowskiego. Ona to porwała się w r. 1936 do walki z Małopolskim Związkiem Młodzieży Ludowej, będącym pod „opieką” ziemiaństwa, zorganizowanego w Małopolskim Towarzystwie Rolniczym. Akademicy ze wsi podnieśli sztandar samodzielności i konsolidacji ruchu chłopskiego. Oni też prowadzili w woj. krakowskim pracę w Związku Młodzieży Wiejskiej „Wiści” i w Związku Młodej Wsi „Siew”, nadając tym organizacjom oblicze. Na swych zebraniach akademicy ze wsi ciągle radzili nad tym, jakby doprowadzić do dalszej konsolidacji ruchu chłopskiego. Jej jedynym marzeniem było stworzenie jednego olbrzymiego ruchu młodzieży wiejskiej, gdyż tylko taki ruch zdolny jest podnieść wieś tak pod względem społeczno - kulturalnym i gospodarczym jak i politycznym.

Obrazy te wszystkie i narady to nie były II tylko „akademickie dyskusje”. Młodzież wiejska natychmiast przystępowała do ich realizacji. Młodzież ta rusza natychmiast w „teren”. Jedyny wolny czas, jaki ma w niedziele poświęca bardzo często na wyjazdy w teren, na różne konferencje, kursy szkoleniowe, inspekcje itd.

„Dość dużo nawet — pisze w pamiętniku J. P. — pracowałem w organizacji wiejskiej w Siewie... Czulem, że jako syn drobnego rolnika, winienem pracować dla dobra wsi. Często nogi odmawiały posłuszeństwa, a ja brzdękając po błocie i śniegu od wioski do wioski, od koła do koła. Jednak praca ta ma charakter periodyczny, gdyż brak środków do życia zmusza mnie do pracy zarobkowej, czy też dłuższego przebywania w domu”.

Ten sam student pisze w swym dzienniku:

„W tym czasie dość dużo jeżdżę po organizacjach naszych. Często nawet nocuję poza domem” (czerwiec 1937).

„Wakacje spędziłem rozmaicie. Najpierw byłem na obozie O. koło L. — jako instruktor wychowania obywatelskiego” (grudź. 1937 r.).

Mimo fatalnych nieraz warunków życia, przy nadwyżonym zdrowiu młodzież chłopska, objawując jakąś placówkę, prowadzi ją nadal. Oto taki np. wypadek. Akademik ze wsi, jeden z organizatorów Zw. Młodej Wsi, Ziemi Krakowskiej i Podhalańskiej złożony chorobą płuc, dostaje się na klinikę i jeszcze stamtąd prowadzi nadal organizację, będącą dopiero w stadium początkowym, a więc w stadium dla wszelkiej organizacji najtrudniejszym. Inny wypadek — ten sam student już jako absolwent U.J., mając lepiej płatne zajęcie, z powodu braku funduszy w kasie Związku pokrywa część kosztów redakcji czasopisma tejże organizacji oraz kosztów wydrukowania deklaracji ideowych, koniecznych dla pracy organizacyjnej.

Na zakończenie posłuchajmy jeszcze zwierzeń W.W. Pisze on w pamiętniku:

„Z chłopem stałem w ciągu mych studiów w ustawicznym kontakcie. Wprawdzie był to czas krótki, bo tylko ferie (nie zawsze całe), wakacyjne i świąteczne, ale wystarczający, by odegrać w życiu wsi pewną rolę... Jako syn chłopca nie straciłem nigdy kontaktu z chłopem. Najbliższym czulem się go, gdy współpracowałem z nim w jakichkolwiek organizacjach. Wtedy wydawał mi się ten lud najsympatyczniejszym. Działalność moja na wsi należała do najmilszych i najwdzięczniejszych prac. Chętnie brałem udział w pracy różnych organizacji miejscowych, jak Straż Pożarna, Koło Młodzieży, gdzie przeważnie współpracowałem w wystawianiu sztuk, w urządzaniu zabaw i innych, imprez. Brałem udział w różnych posiedzeniach, w czasie których zabierałem głos w dyskusjach i starałem się moje zdanie przedstawić. Lecz tu muszę zauważyć, że inicjatywa, o ile chodzi o pracę w tych organizacjach wychodziła przeważnie od nas akademików, studentów... W dwu wypadkach wyszła inicjatywa od akademików, w wypadkach, które miały doniosłą wartość dla wsi. Podjęliśmy myśl budowy pomnika dla poległych rodaków w czasie wojny światowej i myśl budowy domu ludowego. Dwie te myśli przedstawił mi Radzie Gminnej i zdołaliśmy wszystkich przekonać o ich słuszności.

„Tak tedy powstał z inicjatywy studentów mej wsi i przez współpracę naszą z władzami wsi pomnik piękny i została zapoczątkowana budowa domu ludowego.

Pracowałem także dla wsi przez współudział w poczynaniach naszej szkoły. Wszelkie imprezy, przeznaczane czy to na szkołę, czy na młodzież szkolną, miały we mnie swego pomocnika. Starałem się także przez swój autorytet wpłynąć na wieś i brałem udział w kweście, przeznaczanej na różne cele: pomoc dla powodźian, budowę domu ludowego, pomoc dla dziatwy szkolnej itp.”

(D. a. n.)

*) Patrz „Wiś” Nr 15/16 (43/44) i 18/19 (46/47).

ZDZISŁAW JERZY KEMPF

W pogoni za konsekwencją

Sympatycy wsi i jej zagadnień winni są wdzięczność Kazimierzowi Budzykowi, że odkopał wysuche źródło dyskusji nad problemem gwary. Osobiście poczuwam się do wdzięczności specjalnej, że zaatakował treść krótkiego szkicu mojego z nr-ru 2(30) „Wsi”, pozwolił mi tym samym na podjęcie głosu raz jeszcze. Mam nadzieję, że tym razem potrafię sformułować swoje poglądy na to trudne zagadnienie jaśniej, niż w poprzednim aż nazbyt krótkim ujęciu.

Pisząc te słowa czekam nadal na to, na co czekałem od pierwszych dni dyskusji i czego się nieestety nie doczekałem, że zjawia się wreszcie ów bóg z maszyny, który tym dysputom nada ton właściwy i szczerze fachowy. Bo jak to w mądrej intuicji czy też nawet przeświadczeniu wyraził Paweł Kubisz, rozpatrywane zagadnienie gwary wchodzi w zakres specjalności nie tyle socjologa i etnologa ile głównie i zasadniczo filologa, a językoznawcy i gwaroznawcy w pierwszym rzędzie. Myślę, że ktoś z naszych wybitnych językoznawców opuści wreszcie stanowisko rezerwy i dorozni do trudnej dyskusji głos swój, bardzo w tym wypadku cenny.

PODSTAWA PRAKTYCZNA I JEZYKOZNAWCZA

Na kulturalnie sformułowane zarzuty opoenta mego K. Budzka odpowiedzieć mi jest łatwo, a utrzymać moje poprzednie stanowisko nietrudno. Powodem tego jest fakt, że tak K. Budzyk jak wszyscy pisarze biorący dotychczas udział w dyskusji podchodzili do zagadnień z punktu widzenia teoretycznego a nie praktycznego. Snuili teorie ogólne nie badając, czy mają one zastosowanie w praktyce. Wchodzili w socjologię oddalając się od podstawy językoznawczej. To samo dotyczy artykułu K. Budzka, w którym ów, kierowany szlachetną gorliwością, chciałby widzieć narodziny ortografii gwarowej usankcjonowanej na wzór ortografii języka literackiego. Niestety artykuł jest długi i dużo teoretyzuje jak wszystkie dotychczasowe, lecz do praktycznego rozwiązania zupełnie nie dochodzi. Dostajemy w efekcie tylko jedną receptę na pisanie nosówki w słowie „wiązać”. Czyż ten drobniak w całym morzu zagadnień gwarowych? Jeśli mam być szczerzy, to powiem, że dotychczas tylko Józef Pogan stawiał zagadnienie właściwie jeśli chodzi o metodę, bo rozumiał, że problem pisowni gwarowej można rozwiązać tylko na podstawie językoznawczej i praktycznej. Rzucił się z motyka na słońce, ale z dobrą wolą i temperamentem.

HUZIA NA FONETYKĘ!

Odnoszę wrażenie, że wszyscy dotychczasowi krytycy ulegają dziwnemu uprzedzeniu, że niedostępność, trudność i egzotyzm gwary dla ucha odbiorcy mówiącego językiem literackim polega tylko na odrębności jej systemu fonetycznego. Wszyscy walą gromami w pisownię „wiunzać”, „łocy”, lub „fto”, a dają uśmiechem sympatii obecności w rodzaju „tutaj”, „tutaj”, „haw” i „hawok”. Dlaczego fonetyka „egzotyczna” w gwarze ma być kozłem ofiarnym, a równie egzotyczne i niezrozumiałe dla inteligenta odrębności morfologiczne, leksykalne i syntaktyczne mają być beniaminkiem — nie wiem. Jest to uprzedzenie bez podstawy logicznej i normatywnej i nic więcej.

Przyjrzyjmy się zagadnieniu z bliska i bez uprzedzeń. Pisze K. Budzyk: „Nie na tym polega bogactwo gwary w stosunku do języka literackiego. (To znaczy: nie polega na odrębności strony fonetycznej). Ale wydobyć jej istotnych wartości to już wcale nie sprawa takiej czy innej ortografii”. Zapytać pragnę, co to są istotne wartości języka więc i gwary? Zdanie, że fonetyka jest nieistotną częścią języka, jest zdaniem nie naukowym. Przeciwnie fonetyka jest bardzo istotną częścią języka, nawet jego fundamentem. Bez głosek nie istnieje język jak dom bez cegieł. W gramatykach głosownia umieszczana jest na pierwszym miejscu, a wspaniały rozwój językoznawstwa zwłaszcza porównawczego stał się możliwy tylko dzięki licznym i drobiazgowym badaniom głosowni. Zaden szanujący się językoznawca, na których głos tak na próżno czekam w obecnej dyskusji, nie mógłby zaryzykować powiedzenia, że fonetyka jest nieistotną częścią języka.

INTEGRALNOŚĆ JEZYKA

Przypomnijmy więc sobie, na jakie części dzieli się nauka o języku. Zrobimy jednak z góry zastrzeżenie, że ściślej granicy między tymi grupami przeprowadzić nie można, bo istnieją zagadnienia wchodzące równocześnie do jednej lub drugiej grupy. Grupy te z grubsza ujęte wyglądają następująco: 1) grafika i ortografia, 2) fonetyka (głosownia), 3) semantyka, 4) morfologia, która dzieli się na: a) fleksję (deklinacja i koniugacja), b) słowotwórstwo, 5) składnia (syntaksa), 6) słownik. Można przez całość gramatyki zrobić jeszcze przekroje pod względem aspektów czasu i przestrzeni, gdy więc mowa o czasie rozróżniamy gramatykę opisaną dzisiejszego języka literackiego i gramatykę historyczną (język staropolski), gdy zaś mowa o przestrzeni, mamy podział na gwary czyli dialektologię.

1) Do grafiki zalicza się wszystkie kwestie związane z literami i czonkami. System graficzny przyjęty w danym czasie jako obowiązujący nazywa się ortografią. Zagadnienie więc pisania „żoraw”, „żuraw”, „pasorzyt”, „pasorzyt”, „gęba”, „gymba” jest zagadnieniem graficznym i ortograficznym.

2) Do fonetyki wchodzi zagadnienie zwią-

zane z głoskami czyli elementami głosowymi języka, które należy odróżnić od liter „Dzi” w słowie „działo” jest jedną głoską, choć pisze się trzema literami.

3) Semantyka jest nauką o znaczeniu wyrazów. Ta część gramatyki trudni się więc rozróżnianiem, że słowo „chłop” jest rzeczownikiem, „chłopski” przymiotnikiem, „schłópieć” czasownikiem, a „po chłopku” przysłówkiem.

4) Morfologia czyli nauka o postaciach wyrazów dzieli się na fleksję i słowotwórstwo, fleksja zaś dzieli się dalej na deklinację (nauka o odmianie rzeczowników, przymiotników, zaimków i liczebników) oraz na koniugację (nauka o odmianie czasownika). Do słowotwórstwa wchodzi zagadnienia tworzenia i składu wyrazów. Podstawowymi elementami składu są: pierwiastek, przedrostek i przyrostek. Pierwiastkiem jest np. „kos” w słowie „kosa”, przedrostkami cząstki przed kreską w wyrazach „po-kos”, „s-kosić”, przyrostkami cząstki po kresce w wyrazach „kos-a”, „koś-ba”, „kos-ić”, „kosi-arz”.

5) Do składni wchodzi zagadnienia stosunku wyrazów do siebie w wypowiedzeniach i zdaniach. Fakt więc, że czasownik „rozumieć” łączy się w języku literackim z biernikiem „rozumieć książkę”, a w pewnych gwarach z celownikiem „rozumieć książkę”, jest kwestią składni (składnia rzędu).

6) Słownik (zagadnienia leksykalne). Tu należy odrębności samych tylko wyrazów. Jeśli więc w jednych okolicach mówią „chaber”, w innych „blawat”, w innych jeszcze „modrak”, nie jest to zagadnienie ani fonetyki, ani morfologii, ani składni, lecz słownika.

Podział języka i gramatyki na powyższe działy jest podziałem ogólnikowym i nie ma pretencji do ścisłości. Granice są tu luźne i chwiejne. Nie można powiedzieć, że zagadnienie ortograficzne „u” obok „o” jest zagadnieniem wpadającym ściśle do szufladki ortograficznej. Przeciwnie — zagadnienie to właśnie z tej szufladki wystaje i częścią leży w szufladce fonetycznej. Co więcej — leży jeszcze w trzeciej szufladce — historycznej. Bo gdyby kiedyś w dawnej Polsce nie wymawiano odrębnie „u” i „ó” jak do dziś wymawia się odrębnie w Śląsku, nie zaistniałaby nigdy potrzeba stosowania tych dwu odrębnych liter i mielibyśmy dziś tylko jedno „u”. Dzisiaj „lud” i „lód” wymawia się jednako, a obecność dwu liter przy jednak, a obecność dwu liter przy jednej ich wymowie jest utrudnieniem w elementarnej nauce a nie korzyścią. Ale aby zrozumieć ich obecność, trzeba właśnie sięgnąć do gramatyki historycznej, która wyjaśni, że kiedyś obecność tych dwu liter była koniecznością. Podobnie w formie góralskiej „chodził” = chodziłem, końcowe „k” jest zjawiskiem fonetycznym, bo pierwotna końcówka „ch” zamieniła się tu na „k” w pewnych warunkach głosowych, ale jest to również zagadnienie morfologiczne i fleksyjne, bo ta końcówka „ch” jest końcówką dawnego aorystu (czasu przeszłego), którego wzory zachowały się w najstarszym zabytku piśmiennictwa polskiego, tzw. „Kazaniach Świętokrzyskich”. Tu więc przez góralską końcówkę „k” przebiegają dwa problemy: fonetyczny i morfologiczny z odcieniem historycznym. Co więc zrobić? Rozkroić końcówkę na pół? Jak widać stąd, granicy bezwzględnej między kategoriami gramatycznymi nie da się pociągnąć, jak nie da się tego zrobić w żadnej nauce. Nie ma takiej granicy nawet w przyrodznawstwie między gromadą ssaków i ptaków, bo dziobak może z powodzeniem należeć do obu gromad, podobnie Archaeopteryx (pierwotak) może być ptakiem i gadem. Natura non facit saltus. Jeśli dziobaka zaliczono do ssaków, zrobiono to umownie ze względów praktycznych. Z szufladkowaniem bądymy ostrożni wychodząc raczej z założeń Heraklita niż Parmenidesa. I zgódźmy się na fakt, że organizm języka jak i gwary jest niepodzielny. Wszelka wiwisekcja to choroba i śmierć tego organizmu.

ŚCIGAJMY KONSEKWENCJE

W chwalebnej dążności unifikacyjnej chcą Budzyk i Pogan sprowadzić gwary do wspólnego mianownika to znaczy do parytetu ortografii języka literackiego. Atak swój wprowadzą głównie na fonetykę. Zapytujemy więc, czy gwara składa się tylko z fonetyki tzn. tych wszystkich nienawistnych „wiunzać”, „łocy”, i „fto”? Przecież zjawiska gwarowe odrębne od języka literackiego występują na przestrzeni całej gramatyki. A więc:

W zakresie deklinacji mamy malborskokociewskie „chłopokowiu” = chłopakowi, południowo-polskie „do studnie”, „z zagranice”, ogólnopolskie „koniów”, „ludziów”, „baków” obok śląskich „ludziach”, „dnich”, collectiva „kawalerza”, „wójcia” = kawalerowie, wójtowie, por. „księża”, serbskie „gospoda” = panowie, od „gospodin” = pan, formy nowopolskie przymiotnikowe męskie „dobzi”, „obci”, „spiaci” jak „cisi”, „mocni”, odrębności liczebnikowe „piących grzybów”, „z pięć kuniamy”, śląskie „trze”, „szyrze” = 3,4.

W koniugacji w miejsce „chodzimy” występują w dialektach formy „chodzima”, „chodzim”, „chodzima”, w miejsce „chodzicie” forma „chodzila”, w rozkaznikach „pójma” = pijmy, „pójta” = pijcie, śląskie „chodzem” = chodzę, kaszubskie „brót jem”

= brałem (por. staropolskie „brał jćm”), formy „tlugem” i „tlugech” = tłułem, „my są” obok „sąmy”, „sąta” i „sąście” = jesteście, nawet „my jest”, „wy jest”, mało-polskie rozkazniki „bydź = bądź”, „bydźcie” = bądźcie, ale „bąś” = być, archaiczne rozkazniki „chodzi” = chodź, „pudzi” = pójdz, por. „chodzino” = chodź + no, kaszubskie: „on miół rzekle” = on powiedział, „ona miała tego pana proszone” = prosiła.

Wymienione formy kaszubskie można zaliczyć również do zagadnień składni jak podane wyżej „rozumieć książkę”.

I wreszcie rozważyć wypada tę część gramatyki, którą Pogan i zapewne Budzyk chcą zachować jako jedynie obowiązującą w gwarze tzn. odrębny słownik. Radzą więc zapewne roztoczyć opiekę nad wszelkimi góralskimi „cetykami”, „zetykami”, „watrami”, „groniami”, „kiernkami”, nad śląskimi w rodzaju „kładziwo” = młot, „ocel” = stal, „ocas” = ogon, nad odrębnościami takimi jak nazwy nietoperza: „niedoperz”, „mętoperz”, „latoperz”, „kacoperz”, „szętoperz” itd., a wszystkie inne więc właściwie całą gramatykę każą wyrugować.

Nie inaczej. Bo Pogan w swoim artykule poleca wyraźnie: „Nie pisać wbrew odmianie gramatycznej”. To ma znaczyć: wbrew fleksji języka literackiego. Gdybyśmy posłuchali tego nakazu, nie wolno by nam było pisać: „chodzima”, „chodzita” i „chodzita”, bo to przeciw odrębności koniugacyjnej, nie mógłby Kaszuba mówić względnie pisać jak jego pradziady: „jo jem ubodzi chłop” = jestem ubogi chłop, ani nawet sam Pogan nie mógłby pisać wedle własnej gwary: „mom piących grzybów”. A może Budzyk zwałca tylko fonetykę, więc te formy każały zachować reformując tylko „gymba” na „gęba”, „syska” na „szyska” itd.? Bo szalony artykuł nie daje nam żadnej wskazówki.

Co więcej, gdybyśmy dokonali tego niczym nie usprawiedliwionego gwałtu na żywej gwarze, żebyśmy z niej wycieli całą gramatykę zostawiając tylko słownik, nie uratowalibyśmy nigdy konsekwencji. Bo jeśli już przypuścimy, że K. Budzyk chce usunąć tylko gwarową fonetykę zostawiając resztę gramatyki, to zapytajmy, co by zrobił np. z formą podhalańską „kiebyk to wiedziol”, gdzie w końcówce „k” zbiega się fonetyka z fleksją. Jeśli by chciał być konsekwentny, musiałby to „k” wyrzucić jako rezultat darzonej antypatii gwarowej zmiany fonetycznej, równie co najmniej zwalczanemu przez siebie „wiunzać”, gdyby jednak chciał równocześnie respektować fleksję, musiałby to „k” zachować jako pozostałość po końcówce aorystu „ch” (śląskie: „kiebych to wiedziol”), więc po zabytku archaicznym, czcigodnym, sięgającym epoki praślawiańskiej.

WZGLĘDY PRAKTYCZNE

Tendencja artykułu K. Budzka jest, jak zaznaczyłem, szlachetna, bo żąda unifikacji i systemu w miejsce tego, co sam nazywa chaosem. Kierują autorem względy praktyczne, bo chce on, by utwory gwarowe były zrozumiałe. Ale dochodzi do sprzeczności z samym sobą. Bo zapytajmy, czy protegowane przez Budzka „istotne wartości” gwary, więc prawdopodobnie słownik, są bardziej zrozumiałe od „dziwolągów” fonetycznych? Ależ nigdy, wprost przeciwnie! Nie wiem, jak Budzyk może zryzykować tak karkołomne twierdzenie. Czy wszelkie góralskie „fatały”, „gieleły”, „putyry” i „hyry”, wszelkie pomorskie, rybockie, „kłomle”, „ilosy”, „ganty” i „trempy” są zrozumialsze od form „wiunzać snopy”, „wytrzeszać łocy” i t. d.?

SŁÓWKO O MANDARYNACH

Pogan zawiązał się na chińszczyznę. Budzyk mu sekunduje: „Macie rację, Kolego: gwara wprowadzona do literatury nie może stać się chińszczyzną”. Biedna, szacowna chińszczyzno! Otóż żeby nie być gorszym w szastaniu paradoksami od Poga i Budzka, pozwól sobie na pozorny paradoks. Powiem: nie ma trudniejszej chińszczyzny od ortografii literackiej i w ogóle języka literackiego! Sam Budzyk zgadza się, że pisownia nasza daleko odbiega od wymowy. I jak bardzo! Nauczenie się poprawnego pisania jest niemal kunsztem czarnoksiężkim. Człowiek piszący ortograficznie i znający tajniki własnej mowy w najdrobniejszych szczegółach, dlaczego tak a nie inaczej? Jeśli przeciętny inteligent nie wie, co to „oskoła”, „soroka” lub „miłorzab” (to nie po chińsku!), jeśli nie rozumie wyrazów takich jak „labarum”, „kontaminacja” lub „paralaksa”, nie zrozumie również, że śląski „strom” to drzewo jak po czesku i po słowacku, a kaszubski „brząd” to owoc. I tu i tam jest chińszczyzna. Jedyną radą zakasać rekawy i wziąć się do studiowania tej chińszczyzny. Uczmy się na mandarynów!

REASUMCJA

Jeśli więc język literacki jest trudny, dla ludzi niewykształconych niekiedy niezrozumiały, a pisownia jego prowizoryczna i niestała, co przynajmniej przede wszystkim językoznawcy, po cóż na gwałt zamykać w ramach tego języka gwary, gdy gwary tego nie chcą. Pogan i Budzyk pakują fonetykę gwarową do literackiej jak niecierpliwego pasażera, który śpiesząc się upycha rzeczy w kuferku pomagając sobie kolanami. Jest to robota destrukcyjna, a gwara mści się na reformatorze swoim sama, bo drwi zeń zapędzając go w kozę róg niekonsekwencji.

Dyskusja o gwarze

I co się przez to zyska? Nic. Dokona się wiwisekcji na żywym organizmie gwary, spaczy się rzeczowość, nie złapie się konsekwencji, bo ona ucieknie czyli nie stworzy się w „chosie” systemu, a system musi się opierać na konsekwencji i w rezultacie okaleczona i zakłamana „gwara” nie wiele zyska na zrozumiałości. Gwara jest pięknym i zdrowym organizmem żywym. Fonetyka, morfologia, składnia, słownik to jej organy vitalne zroszone z sobą ściśle jak to wykazaliśmy powyżej mówiąc o integralności języka. Co to jest rana? Medyk powie, że rana to przerwanie ciągłości organu. K. Budzyk chce gwarze zadać ranę, prawdopodobnie śmiertelną, Pogan chce gwarę uśmiercić na pewno, bo jej amputuje ręce, nogi i głowę. Czy tak powinni robić jej miłośnicy? Uważam, że mogą istnieć tylko dwa hasła dla pisarza ludowego: pisać czystą gwara albo pisać czystym językiem literackim. Jak jasną jest rzeczą, że dla przyszłych reformatorów z Akademii Umiejętności zajętych reformą ortografii języka literackiego wzorem pozostanie aktualna w danym czasie wymowa czyli obiektywna prawda o tym języku, tak dla pisarza gwarowego jedynym wzorem może być prawda obiektywna o gwarze czyli jej faktyczne brzmienie zaobserwowane słuchem. Bystry obserwator zanotuje ją wiernie, głuchy niczego się nie dośłucha. Tym też będzie się mierzyć — oczywiście prócz wartości czysto literackich — wielkość lub małość ich dzieła. O chaosie więc, o którym wspomina Budzyk, mowy być nie może. Przeciwnie, wszelka reforma czyniąca z gwary stwór bez ła i ogona, przy nioślaby w skutku chaos. Unika tego podświadomie ale w mądrym przeczuciu sam Pogan, który rzuciwszy w nr-ze 19 „Wsi” dalekoidając, lecz ogromnie nielogiczny plan reformy gwary, już w następnych numerach pisma drukuje fragmenty prozy w czystej gwarze, na przekór poprzednim wywodom, z pełnym kultem dla wyeliminowanej poprzednio przez siebie fonetyki gwarowej. Jest niekonsekwentny, ale tym razem bądźmy mu wdzięczni za tę niekonsekwencję.

Korespondencja

Drogi Panie Arturze!

Z pierwodruku Pańskiego wyjaśnienia (nr. 20 „Wsi”) z dużą satysfakcją odniosłem wrażenie, że Pan nie podtrzymuje ryzykownych sformułowań na temat gwary, opublikowanych kiedyś w dyskusji. Rozczulenie mnie ogarnęło niezmiernie (przecież ten Sandauer to wcale rozsądny człowiek), na tym tle powstał prawie szacunek — omal przyjaciółmi mogliśmy zostać.

Obecnie widzę, że jednak myliłem się. Okazuje się bowiem, że nadal uważa Pan gwara za rezultat błędów popełnianych przez chłopca, choć druga redakcja pańskiego wyjaśnienia zamiast wyjaśnić, jeszcze bardziej sprawę zaciemnia. Przytacza Pan dłuższy ustęp, który wyraża Pańską opinię, że „pisarze, którzy język literacki doskonale znają, stosują gwara w sposób sztuczny”. Może to nawet i prawda. Na ten temat nie wypowiadałem się dotąd. Ale poza tym sam Pan przecież i taraz przypomniał swa tezę, że „chłop prawdziwy stara się wyzbyc, jeśli może, błędów swojej pisowni”. — „Błędów” — wyraźnie „błędów”. Przecież w dalszym ciągu tej tezy powiada Pan, że nasi poeci „...starają się sobie przywoić tych błędów (podkr. moje) jak najwięcej”.

Ze — po namyśle — uważa Pan tezę że to niedorzeczność, wcale się temu nie dziwię. Że Pan nigdy nie miał zamiaru wypowiadać niedorzeczności — w to również skłonny jestem uwierzyć. Całkiem niepotrzebnie publicznie Pan to oświadcza. Ale niech Pan nikomu za złe nie bierze, jeśli Pańskie zbyt może pochopnie kiedyś wypowiedziane „tak” nie zostało zrozumiane jako „nie”. Trudno mi było przyjąć za aksjomat tezę, że Pańskie opinie zawsze być muszą sensowne, bo Artur Sandauer nigdy nie może się mylić. A jeśli przypadkiem opinie te tracą o miłą niedorzecznością, że to czytelnik jest winien — nie autor. Nie mogę uwierzyć poza tym, że się w Panu nowy genjusz objawił: wielki znawca polskiej dialektologii.

To też niech Pan raczej się przyzna, że ten teren Panu jest obcy i niech Pan nie twierdzi wbrew oczywistości, że to ja „świadomie fałszuję” Pańskie słowa. — Skądże! Nawet podświadomie nie śmiałym, a cóż dopiero świadomie. Taka znakomitość jak Pan i „niejaki p. Budzyk”, w nawiasie: „(Kazimierz)”, „Budzyk ów”, „pan ten”. — Cóż za przepaść doprawdy!... co za kulturna.

Pański niedoszły przyjaciel
Kazimierz Budzyk.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Komitet redakcyjny: Kałużyński Zygmun, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Pięta Stanisław. Komitet terenowy: Frasił Józef Andrzej, Nedza-Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Wydawnictwo Z. S. Chł. w Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wiś”, Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-9.

Drukarnia „Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, ul. Żwirki 2. D-09471